

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 80 zł.  
 $\frac{1}{2}$  " — 40 "  
 $\frac{1}{4}$  " — 20 "  
 $\frac{1}{8}$  " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Umoralnienie polityki.

Ponieważ nacjonalizm, jako system społecznego myślenia i program politycznego działania jest dzisiaj jednym z najważniejszych czynników życia ludzkości, przeto każdy myślący człowiek powinien odczuwać potrzebę skonfrontowania go ze swoim intelektualnym i moralnym sumieniem, aby stosownie do tego, jaki ta konfrontacja da wynik, mógł—każdy oczywiście w swoim zakresie życia—przyczynić się do jego wzrostu lub upadku, względnie do przekształcenia w uznanym za dodatni kierunku.

Sumienie intelektualne myślącego człowieka domaga się, aby w jego światopoglądzie nie było sprzeczności: aby — jak formuluje to filozof James w swym „Pragmatyzmie“ — „mógł pojąć czynności i myśli swoje oraz swoje zmartwienia, jako uzupełnione przez wszystkie inne zjawiska świata, a tworzące przy takim uzupełnieniu plan, któryby mógł przyjąć jako swój własny”.

Sumienie moralne domaga się, aby światopogląd człowieka pozwalał mu przyjąć pełną odpowiedzialność za skutki materialne i moralne, jakieby powstały wówczas, gdyby taki pogląd na świat stał się powszechnym i był we wszelkich działaniach ludzkich konsekwentnie, praktycznie stosowany.

Otóż trzeba niestety stwierdzić, że ani jedno ani drugie z tych sumień nie jest we współczesnej psychice dość czynne. Mało kto dba o harmonię i wewnętrzną jednolitość swojego światopoglądu, a jeszcze rzadziej zastanawiają się ludzie nad ewentualnymi skutkami powszechnego wprowadzenia ich zasad w życie.

Spróbujmy się z przeciętnym wykształconym i myślącym człowiekiem wdać w rozmowę na temat etyki, a przekonamy się, że będzie swoje esencjonalne przynajmniej i najgłówniejsze poglądy etyczne

formułował w postaci sądów kategorycznych i powszechnych, jakgdyby we wszystkich dziedzinach stosunków ludzkich jednakowo powinny obowiązywać. Ale spróbujmy następnie, bez widomego związku z poprzednim tematem, przerzucić rozmowę na sprawy polityczne i spytajmy, co uważa za obowiązek tego lub owego polityka w tym lub owym konkretnym wypadku, a przekonamy się, że w odpowiedziach swoich nie będzie on się z swojimi własnymi czysto etycznymi poglądami liczył albo wcale, albo niewiele. Zwłaszcza gdy jest nacjonalistą — względ na interes narodu uświęci w jego oczach wszelkie sposoby działania.

W rezultacie więc okaże się, że tak w jego poglądzie na świat jak i w jego sumieniu moralnym mieszczą się obok siebie doskonale dwa różne kryteria sądenia czynów ludzkich.

Teoretycy nacjonalizmu chcąc uniknąć powyższej sprzeczności usiłują swoje społeczno-polityczne poglądy doprowadzić do harmonii z etyką, przyjmując dwie etyki: jedną indywidualną, drugą zbiorową—inną dla jednostek, inną dla narodów. Tymczasem dwie etyki stanowią właściwie absurd. Może obok etyki być nie licząca się z nią działalność ekonomiczna lub polityka, ale nie druga odmienna etyka. Narody i państwa niewątpliwie nie kierują się dzisiaj we wzajemnych stosunkach temi zasadami, które obowiązują jednostki. Nie kierują się nimi też niewątpliwie wobec siebie grupy społeczne czy stronnictwa w łonie jednego narodu czy państwa. Ale czy z tego wynika, że te narody i grupy kierują się odmienną niż ta, która obowiązuje jednostki—etyką? Wynika przecie tylko to, że się nie kierują etyką wcale.

Etyka może być tylko jedna. Jej nakazy mogą ulegać różnym modyfikacjom stosownie do okoliczności, ale same te modyfikacje nawet muszą konieczne być prostą konsekwencją jednego celu,

jednej wspólnej zasady i jednego naczelnego kryterjum. Ta zasada i to kryterjum muszą być bezwzględne. Człowiek nie może inaczej postępować w charakterze prywatnym, a inaczej w charakterze publicznym. Nie może mieć dwóch sumień moralnych.

W rzeczywistości dzisiejszej istotnie narody i państwa nie kierują się wobec siebie nawzajem etyką żadną. Zastępuje im ją pewien rodzaj kodeksu honorowego, który zresztą nie jest przestrzegany skrupulatnie, a jego paragrafy są naciągane stale do potrzeb i celów egoistycznych.

Czy jednak z tego, że tak jest, ma wynikać, że tak zarazem być powinno?

Czy wynika zresztą choćby tylko to, że tak być musi i że zatem odpowiednio do tej konieczności trzeba zmodyfikować nasze pojęcia moralne?

Kto się nad tem zastanowi, będzie musiał przyznać, że szerzenie twierdzącej odpowiedzi na te pytania byłoby dla stanu moralnego ludzkości wprost groźne.

Naprzód postulat jedności wewnętrznej i harmonji w naszym poglądzie na świat, postulat jednego absolutnie kryterjum moralnego, jest tak silny, że rozdzielenie tego kryterjum ostatecznie ustalić się nie zdoła. Skoro zatem ustalili się przekonanie, że narody a nawet warstwy ich poszczególne mogą i powinny, bo muszą, kierować się w swych działaniach wyłącznie interesem swego zbiorowego egoizmu, to wówczas ten kategoryczny postulat wewnętrzny jednego prawa moralnego sprawi wreszcie, że i jednostki swoje prywatne sumienie ukształtują na wzór sumień państw i narodów, że i dla jednostek jedynym drogowskazem postępowania stanie się ich egoistyczny interes.

Powtórę — twierdzenie, że skoro tak jest, to

zarazem tak być musi, a zatem i powinno, tamuje i utrudnia wszelki postęp, wszelkie próby ulepszenia tego, co jest, paraliżuje. Postęp wszelki przecież, nietylko moralny, odbywa się na podstawie przeciwstawienia w świadomości temu, co jest, tego, co by było lepszym. Musi w tej świadomości wyraźnie powstać i wyraźnie żyć jakiś określony ideał. Gdy idealnie, teoretycznie naprzód zwycięży dusze ludzkie, już mu wówczas bliżej do stania się rzeczywistością. Bez takiego idealnego naprzód zwycięstwa tego, co ma być, nad tem, co jest, żaden postęp nie byłby się nigdy dokonał, ani materialna ani moralna cywilizacja nie byłaby możliwą. Człowiek byłby wciąż tem, czem wyszedł z łona natury. Tylko na tworzeniu pewnych ideałów i na następnym ich realizowaniu polega właściwie jego doskonalenie się. Oczywiście świadomość tego, co jest, zrozumienie istniejącej rzeczywistości powinno być jaknajpełniejsze i ideały nie powinny od niej zbyt daleko odbiegać. Przynajmniej środki ich realizacji muszą być konieczne w istniejącej rzeczywistości, w naturze ludzkiej przedewszystkiem, potencjalnie zawarte. Inaczej ideał będzie utopją, a utopje zawsze na manowce tylko prowadzą. Ale czyżby postulat umoralnienia polityki miał być właśnie utopją? Czyżby twierdzenie, że narody i państwa powinny kierować się tą samą etyką, która obowiązuje jednostki, miałyby być absolutnie sprzeczne z jakimiś niezłomnymi prawami socjologicznymi, niezgodne wprost z naturą zbiorowych jestestw?

Myśleć tak byłoby chyba niedorzecznością.

Przecież każde z tych jestestw zbiorowych jest ostatecznie tylko sumą jednostek, dla których pojedynczo ta etyka jest uznana za możliwą. Przestrzegana, czy nie — na dnie sumienia każdej z nich ona jest. Czyż więc w zbiorowym sumieniu, które prze-

## Poemat o Witoldzie.

Kiedy około 1840 r. ukazał się w druku poemat epiczny Kraszewskiego, p. t. „Anafielas” złożony z trzech części: „Witolorauda”, „Mindowe” i „Witoldowe boje”, krytyka powitała ten utwór naogół bardzo przychylnie, a nie brak było nawet recenzyj wprost entuzjastycznych, jak np. Michała Grabowskiego w „Tygodniku Petersburskim”. Jedynie A. Tyszyński, najwybitniejszy ówczesny krytyk literacki zajął stanowisko powściągliwe, nie odmawiając wprawdzie wielu zalet poszczególnym ustępom poematu, ale zarzucając całości rozwlekłość, braki kompozycyjne i kronikarskie ujęcie tematu.

Za najsłabszą część uznał Tyszyński „Witoldowe boje”, oceniając ją zresztą wyłącznie niemal z punktu widzenia formy i wymagań estetyki. Zupełnie zaś pominął stronę ideową, myśl przewodnią autora, który odmalował postać bohatera Litwy, w końcowym ustępie, z wyjątkową ekspresją, a jednocześnie ściśle trzymając się prawdy historycznej.

Nie chciał czy nie umiał dojrzeć wytrawny skądinąd krytyk wielkiej intuicji poetyckiej, która pozwo-

liła Kraszewskiemu oświetlić duchowe wnętrze Witolda bez fałszywych akcentów, bez żadnej tendencji, z głębokim zrozumieniem i odczuciem dominującego rysu jego charakteru — bezgranicznego umiłowania swej ojczyzny, które kierowało wszystkimi jego czynami, pod wpływem którego dopuszczał się podstępów, zdrad i okrucieństw i które było jedyną pobudką w jego wytrwałych dążeniach do osiągnięcia zwierzchniej władzy, do włożenia na swe skronie korony królewskiej.

Nie przez próżność i chciwość sławy pragnął Witold dla siebie korony i wielką zasługą Kraszewskiego jest, że potrafił się ustrzec tego powierzchownego posądzenia, którego jednak całkiem bezpodstawnie dopatrywał się w poemacie Tyszyński.

Scena pomiędzy umierającym władcą Litwy a zaciętym jego przeciwnikiem kardynałem Zbigniewem Oleśnickim, występującym tu zresztą w roli kapłana, przynoszącego ostatnią pociechę konającemu, a przeto wyidealizowanym i grającym raczej rolę symbolu, jest tak mocna i porywająca, że i dziś wywiera głębokie wrażenie.

Odświeżmy ją w pamięci.

cież z sumy tych pojedynczych sumień powinno było powstać, miałyby jej być?

Powiedzmy przedewszystkiem z góry, że ona tam, wbrew świadectwu czynów, jest. Nienadarmo dzisiaj wszystkie państwa i narody usiłują w oficjalnych enuncjacjach swych oficjalnych przedstawicieli bronić swych praw przed trybunałem ogólnego i jednego widocznie w ich poczuciu prawa moralnego. Nie darmo każdy z nich usiłuje zrzucić z siebie odpowiedzialność moralną za wywołanie ostatniej wojny. Nie darmo wreszcie niektóre z nich głosiły nawet, że nie tylko nie wbrew, ale nawet wprost w imię moralnego ideału do walki wystąpiły. Kłamstwo to przeważnie, to rzecz inna — ale już samo uznanie potrzeby takiego kłamania czegoś dowodzi. Jest tam widocznie w tych sumieniach zbiorowych i w tych, co je reprezentują, całkiem wyraźna świadomość tego, co być powinno i że nie powinno być tak, jak jest. I zaprawdę nie może tej świadomości nie być. Nie może ten sam człowiek inaczej czuć jako sumienie jednostkowe, a inaczej jako cząstka sumienia zbiorowego. Takie rozdwojenie wewnętrzne jest prawie psychologicznym niepodobieństwem. To, co się obserwującemu sobie czy drugim takim dualizmem wydaje, jest złudzeniem, wynikającym stąd, że sumienie raz mówi, drugi raz nie mówi, że to się odzywa, to cichnie, że przytłumić je w różny sposób można na chwilę. Ale stałego rozdwojenia, ale dwóch sumień niby — być nie może!

Skoro zaś tak, skoro podstawą wszelkich stosunków społecznych, bez względu na to, czy one między jednostkami czy między zbiorowami indywidualnościami zachodzą, jest ostatecznie zawsze jedna i ta sama psychika ludzka i jedno sumienie, to w takim razie nasz, teoretyczny na razie, ideał moralny co do układu stosunków między narodami po-

winien jak najmniej odbiegać od tego, co już jest oddawna rzeczywistym, czynnym i z samego instynktu zachowawczego ludzkości wynikającym ideałem w stosunkach pomiędzy pojedynczymi ludźmi. I w takim razie bez obawy popadnięcia w utopijne nieziszczalne marzenia możemy myśleć o takim społeczeństwie narodów w łonie ludzkości, ku jakiemu w łonie jednego narodu w naturalnym ewolucyjnym rozwoju życia zbiorowego zmierzają ludzie.

## Naturalny proces i próżne alarmy.

Lamenty junkrów wschodnio-pruskich działają zaraźliwie na naszych żubrów, którzy za przykładem swych duchowych przewodników niemieckich raz po raz atakują rząd, że za mało dba o nich, co są ostoją polskości i państwowości polskiej na „kresach”. Szczególniej pod tym względem wyróżniają się Wołyniacy, którzy znajdują stale gościnę dla swych deklamacyj i jeremjad na łamach „Il. Kurjera Codziennego”. Niema prawie numeru, w którymby się nie znalazła jakaś alarmująca wiadomość o „zagrożonych kresach”, jakaś demagogiczna korespondencja, zreszcie nie spreparowana notatka, a nie rzadko i cały artykuł, utrzymany w tonie wysoce patetycznym, szarpiącym uszy i czule serce poczciwego obywatela z nad Bzury i Pilicy, którego uczucia narodowe w ten sposób doznają stale niezdrowej podniecy.

Najczęściej dają się słyszeć narzekania na swe rzekome upośledzenie ze strony osadników, ale i autochtoni ze sfer ziemiańskich nie pozostają w tyle.

W jednym z ostatnich numerów tego organu, odzwierciadlającego wiernie nastroje i gusty najbardziej typowej przeciętności polskiej, znajdujemy alarmującą korespondencję pewnego Wołyniaka, który rozdziera szaty nad katastrofalnym położeniem sprawy polskiej na „Kresach”.

Na zamku Trockim panuje żalobna cisza. Wielki Witold dogorywa i gasnącym wrokiem spogląda w tajemniczą przyszłość. Uchyła się zasłona i wchodzi kardynał Oleśnicki.

„Spojrzał nań Witold i wstrzął się, a oczy  
Zamknął na chwilę; potem je otworzył,  
Z dumą i gniewem skierował na mnicha  
Nie mogąc ręką, wzrokiem go odpycha.  
On idzie; ani ulęknął się gniewu;  
Słowo poszepnął i u łoża siada.

— Xiążę — rzekł cicho — czas myśleć o duszy  
Dopóki życie niesie nas, jak fala,  
Walczymy z życiem, lub nieść mu się dajem,  
Lecz gdy nas fale do brzegu wyrzucą,  
Spokojną myślą czas dumać o końcu.

Xiążę! pomyślcie, konając o duszy.  
Po waszych ręku wiele krwi się lało,  
Trzęśliście losem ludów, życiem ludzi,  
Z twojej wielkości cóż ci pozostało?  
Boleść ostatnia! żal i zawiedzione

Nadzieje tylko! Nie myśl o koronie.  
Chciałeś nad Litwą być Królem i Panem,  
Byłeś — korony brakło twojej skroni.  
Walczyłeś z nami o byskotkę marną,  
Aż śmierć z tej walki wyniosłeś, O Panie!  
O! w chwili zgonu czem ci ta korona?

— Korona! — Witold krzyknął, wstając z łoża —  
Litwa — wyjęknął — Umrę bez korony!  
Umrę i Polsce zostawię dziedzictwo!  
Litwa poddana! Jam ją chciał mieć panią!  
Jam chciał ją widzieć od morza do morza  
Wielką, swobodną, niepodległą, silną!  
Na trzy dni tylko dajcie, na godzinę  
Koronę Litwy! Z śmiertelnego łoża  
Wstanę i pójdę, i słupy zabiję,  
Gdzie jej granice; murem się odgradzę  
Od Polski waszej. Przy litewskim łonie  
Polska pijawką, co z niej krew wysysa,  
Wiare i język, ojców obyczaje,  
Wszystko wyssała! i wysie do reszty!  
Nic nie zostanie, tylko cień wybladły  
Bez sił i życia, jakim ja dziś jestem!  
Przyjdzie zgon długi, ciężki i napróżno

Dowiadujemy się więc z niej, że „własność polska na Ziemiach wschodnich zanika w drodze szybkiej likwidacji. Z 25 proc. własności rolnej, będącej w rękach polskich za czasów niewoli rosyjskiej — spadła pod własnymi rządami do 15 proc. Proces ten w chwili obecnej posuwa się w tempie gwałtownym”.

Autor dalej wyszczególnia powody wspomnianej likwidacji.

„Rolnictwo przeżywa w chwili obecnej wszędzie kryzys — jest to pewnik niewątpliwy. Kryzys ten odczuwa najsilniej średnia i większa własność ziemska. A to właśnie przeważnie jest ową rdzenna ludność polska na Kresach, na której państwowość polska przedewszystkiem może się oprzeć.

Cóż jednak widzimy? Nasza polityka skarbową dąży do tego, by uniemożliwić istnienie własności rolnej ponad pewną normę. Wskażę na progresję w podatkach, czyniącą nieopłacalnem posiadanie ziemi ponad pewną ilość — na podatek majątkowy — na ze wszech miar dowolne wyznaczanie podatku dochodowego, nie licząc się z faktycznymi dochodami, uznanymi przez płatnika.

Kredytu taniego niema. Bank Rolny udziela go w pierwszym rzędzie komasującym się drobnym gospodarzom, nabywcom gruntów parcelowanych. To też niema prawie właściciela ziemskiego, nie posiadającego długów, za które musi płacić do 4 proc. miesięcznie. To też nic dziwnego, że majątki się parcelują jeden za drugim — jeszcze parę takich lat, a nie będzie już średniej własności.

W jakim sposobie odbywa się parcelacja?

Urzędy ziemskie, wydając zezwolenie warunkują, że pierwszeństwo ma miejscowa ludność małopolska. A to znaczy, że gdy Polak chce kupić działkę, przeważnie musi szukać ryzykownych dróg ubocznych, albo — odchodzi z kwitkiem.

Znam wypadek, gdy małopolska ludność polska zwracała się do urzędu, prosząc jak o łaskę, by jej pozwolono nabyć grunta z parcelującego się w sąsiedztwie majątku — odmówiono na tej podstawie, że to inna gmina.

Zawoła śmierci. Będzie żyć musiała  
Związana ranna, bezsilna, zdeptana!

Korony, słuchaj Zbigniewie! korony!  
Na dwa dni dajcie. Niech ją mam na skroni!  
Niech umrę tylko z tą myślą zwycięską,  
Żem moją Litwę swobodną zostawił,  
Potem rzucicie w błoto tę koronę,  
Zedrżecie z głowy. Lecz dajcie na chwilę,  
Korony dajcie! Niech na skroń ją włożę,  
Niech ją poczuję na chwilę i z nią skonom! —

Tak istotnie myślał Witold; takim prawdziwie odtworzył go poeta. Pragnął Witold gorącą koronę, ale nie dla siebie, nie dla zaspokojenia swej ambicji, lecz jedynie przez wzgląd na swą ukochaną Litwę, którą chciał widzieć wielkim niezależnym mocarstwem. To też gdy Oleśnicki tłumaczy mu, że jego marzenie o koronie jest nieziszczalne, że prowadzi do zguby oba złączone unją kraje, że myśl tę podsunął mu podstępny wróg i wyliczając szereg zwyciężkich czynów Witolda woła

„Panie, czyż mało sławy ci, wielkości?”

w. książę odpowiada mu z uniesieniem:

Pierwszeństwo ma obok położona wieś ruska.  
„Czego oni nie kupią, to będziecie mogli nabyć”.

Czy można sobie wyobrazić takie stosunki w innym kraju? Takiego rodzaju świadome osłabianie żywiołu z natury rzeczy stanowiącego najsilniejsze oparcie dla państwowości polskiej — to polityka samobójcza, skutki której mogą być jak najgorsze.

Czyż wobec tego można się dziwić, że ludność polska jest rozgoryczona, że masowo dąży do emigracji stąd, czując się tu elementem prawie że niepożądanym.

Polski stan posiadania na Kresach dąży do zera”.

Jak temu zapobiec? Autor korespondencji nie wysuwa konkretnych postulatów, ale daje wyraźnie do zrozumienia, że rząd winien otoczyć *specjalną* opieką żywioł polski na ziemiach wschodnich, innemi słowy domaga się dlań *przywilejów*, nikt bowiem nie uwierzy, aby władze polskie istotnie odnosiły się niechętnie do swych rodaków na Wołyniu czy Białorusi i popierały ludność białoruską i ukraińską bardziej niż polską. Jest rzeczą zrozumiałą, że przy równym i bezstronnym traktowaniu potrzeb ludności miejscowej większa i średnia własność ziemska polska, nie może wytrzymać konkurencji z drobnym rolnikiem białoruskim czy ukraińskim i że tego procesu nie można zatrzymać bez nadzwyczajnych środków zapobiegawczych, bez milionów wyrzucanych z kasy skarbowej na ratowanie nie mogących się utrzymać o własnych siłach niedobitków szlacheckich.

O takie miliony, rzecz prosta właśnie chodzi. Mówi o tem przejrzyście końcowy ustęp korespondencji, omawiający statystykę przyrostu ludności i emigracji.

„Największy przyrost ludności jest w województwach wschodnich — gdzie większość stanowi ludność nie polska. Maksimum zaś emigracji jest na zachodzie i południu: tam gdzie żywioł polski jest najsilniej reprezentowany.

Cóż to znaczy? Że przyrost ludności w Polsce odbywa się w drodze rozrostu mniejszości ukraińskiej i białoruskiej, kosztem ludności polskiej, zmuszonej emigrować ze swego kraju.

„— Mało mi jeszcze! — Witold rzekł z zapalem —  
Nie to marzyłem, nie tego ja chciałem!  
Mać wiecznie Litwa, jak wasza służebna,  
Kraj szaty nosić za Polską Królową?  
O! nie! Jam chciał jej koronować skronie,  
Płaszcz dać ramionom, berło dać jej w dłonie,  
I tron jej złoty między morza dwoma  
Postawić — próżno! odumrę służebną!

Słuchaj — zawołał — słuchaj mię Zbigniewie!  
Znasz ty me życie? znasz ty prace moje?  
Wszystko to próżne! i zdrady i boje,  
I krew wylana strumieniem po ziemi;  
I duma, która trwała żywot cały.

Słuchaj! Mnie oczy zagasną za chwilę  
Na długą wieczność. A teraz przed niemi  
Widzę — marami ciągnie życie całe,  
Ofiary wszystkie, ofiar moich cienie,  
Wojny i wrogi, druhy poświęcone —  
Wszystko dla Litwy, wszystko za koronę,  
Której w skonania, w zgonu nawet chwili  
Wyście mi jesze dać pozazdrościli”.

A gdy Oleśnicki zapytuje, co mu dałaby korona,

Więc z jednej strony mamy faworyzowanie na ziemiach wschodnich elementu niepolskiego na szkodę ludności polskiej i zmuszanie tej ostatniej do wyzbywania się jej podstaw istnienia — własności ziemskiej — z drugiej strony nadmiar tejże ludności polskiej nie ma dla siebie miejsca w ojczyźnie, musi szukać chleba poza granicami kraju.

Trudno sobie wyobrazić coś podobnego w jakimkolwiek innym państwie, nie mówiąc już o Niemcach z ich milionowymi sumami, przeznaczonymi na wzmocnienie niemieckości na wschodzie”.

Analogja nie zbyt trafna, ponieważ Wołyniacy domagają się milionów na akcję kolonizacyjną, Prusy Wschodnie zaś, z wyjątkiem drobnego odsetka ludności polskiej i litewskiej, mają zaludnienie jednolite i rdzenie niemieckie. Nie dla celów kolonizacyjnych więc Rzecz Niemiecka asygnuje ogromne kredyty dla rolnictwa wschodnio-pruskiego, lecz dla uratowania sytuacji gospodarczej tego odciętego traktatem wersalskim kraju, który dla przyszłej potęgi mocarstwowej Niemiec ma ogromne znaczenie, a który przy obecnych niepomysłnych koniunkturach geo-politycznych przeżywa ciężki kryzys.

Zupełnie inna jest sytuacja na ziemiach ruskich w państwie polskim. Interes państwowy wymaga tu nie popierania iluzorycznej polskości, lecz zjednania i przyciągnięcia miejscowej ludności białoruskiej i ukraińskiej, która stanowi olbrzymią większość i która w miarę swego uświadamiania się narodowego i dojrzewania politycznego staje się coraz bardziej czynnikiem decydującym o przyszłych losach tych terenów.

Cóż dziwnego, że rząd polski w tych warunkach nie chce zrażać i usposabiać wrogo względem państwowości polskiej milionowych rzesz ludu białoruskiego i ukraińskiego i musi uwzględniać *volens nolens*, — a napewno nie przez sentyment i nie z poczucia oderwanej sprawiedliwości — przy parcelacji przede wszystkim interesy miejscowej ludności włościańskiej! Zbyt krzyczącą i prowokującą byłaby tego rodzaju taktyka popierania polskości, o jakiej marzą obszarnicy wołyńscy.

Daleko jednakże stąd jeszcze do faworyzowania żywiołu niepolskiego, o czym bezustannie krzyczy „Il. Kurjer Codzienny”, wprowadzając w błąd nie orientującą się w naszych stosunkach opinię mało, wielko i centralno-polską.

*Kruk.*

## Bezpodstawne przywłaszczenie.

W prasie polskiej od pewnego czasu zaczęły się rozlegać coraz częściej głosy o zbliżającej się rocznicy Witolda Wielkiego. Poruszają tę kwestję różne odłamy prasy, każdy przedstawiając ją po swojemu, w myśl programowych dyrektyw swego obozu, który dany organ reprezentuje.

Nasuwa się pytanie, dlaczego prasa polska tak długo milczała o tej rocznicy i zabrała głos dopiero niedawno? Przecież naród litewski od niewiedzieć kiedy zorganizował już komitety jubileuszowe, oddawna wre praca przygotowawcza do obchodu, od roku przeszło prasa litewska bardzo szeroko i wszechstronnie omawia tę sprawę. A polska prasa dopiero teraz przemówiła, dopiero teraz przypomniała, iż nadchodzi wielka uroczystość, w której naród litewski złoży hołd swemu największemu bohaterowi, swemu wodzowi, niestrudzonemu krzewicielowi idei Litwy Niepodległej. Uderza przytem fakt, że pierwsze głosy prasy polskiej odezwały się w tonie, nas Litwinów rażącym, niemiłym i niezrozumiałym.

Prasa polska zgodnie podkreśliła, że Witold Wielki był znakomitym politykiem i wojownikiem, któremu Wielkie Księstwo Litewskie zawdzięczało swą dawną potęgę i znaczenie. Dobrze. To fakt historyczny, którego nikt nie obali. Lecz zadajmy pytanie, który odłam prasy polskiej reprezentuje ideologję Witoldową? Nie będę mówił o „Przeglądzie Wileńskim”, który jedyny z całej prasy polskiej tu, w Wilnie, w prastarej stolicy Litwy, stale i konsekwentnie krzewi przez większość społeczeństwa polskiego sponiewieraną i zapomnianą ideę W. Ks. Li-

„Korona — życie — Witold mu przerywa —  
Litwa potężna i Litwa szczęśliwa,  
Słuchaj Biskupie! powiem życie całe,  
Powiem ci moje życie, co się marnie  
Kończy, ze zwycięstw mieniąc na męczarnie.

Ojciec mój skonał z Jagielly rozkazu,  
Dzieci mi Krzyżak potruł niemowlęta,  
A jam Jagielle podał rękę zgody,  
A jam z Krzyżakiem trzy razy się bratał,  
Bo w piersi mojej jedna myśl gorzała,  
Duszę odjęła, głową zawładnęła,  
Nad całem życiem świeciła mi gwiazdą —  
Litwą połączyć, Litwę wyswobodzić,  
I wielkie państwo stworzyć ręką silną”.

Następuje przydługa nieco spowiedź. Witold opowiada wszystko, czego dokonał w życiu, wylicza wszystkie swe podboje, zwycięstwa i porażki, podstępny i układy, przymierza i zdrady.

„Wszystko napróżno! Klęski i zwycięstwa,  
Jedne ni drugie nie zmogły mnie przecie,  
Padłem, wstawałem, Zwycięzcą-m nie spoczął,  
Lecz szedłem dalej, szedłem bez ustanku,

I Litwy coraz szerzyłem granice,  
Aby stanęła od Polski silniejsza,  
Aby poczwara, co jej gryzło łono,  
Mogła nawzajem za boki pochwyć,  
W bok się jej wpoić i krwią jej nasycić.

Nareszcie przyszła chwila, com ją życiem  
Okupił całem, i Zygmunt koronę  
Litwy mi daje. Wstaje Polska cała,  
Piersiami swemi ostatnie zwycięstwo  
Zaparła murem między mną, koroną,  
Między mną, Litwą, stanęła i stoi.  
Zbigniewie! padłem! Z namowy to twojej!  
Tyś w Łucku Panów Radnych na mnie burzył,  
Tyś w Jagiellowych piersiach pożar dmuchał,  
Starzec bezsilny jak ojca cię słuchał.  
Ciesz się — zwycięstwo twoje. Tyś mnie zabił!  
Twoja to ręka serce z piersi starej  
Wyrwała chłodna, i drze bez litości!  
Lecz słuchaj jeszcze! Myślisz, że w twej Radzie  
Pan Twój ma, jak ty, czystych tylko ludzi?  
O! nie! Jam waszych przekupił połowę  
Za moje złoto; każde słowo wasze,  
Každy ruch w Polsce wiedziałem, i głosy

tewskiego. I właśnie dlatego ma pełne prawo przemawiać za uczczeniem największego bohatera Litwy. Ale cóż ma wspólnego z Witoldem Wielkim i z jego myślą przewodnią — niepodległością Litwy, dajmy na to „Słowo” lub nawet „Kurjer Wileński”, którego naczelny publicysta p. Testis w Nr. 22, wygłasza zgola oryginalne poglądy. Pisze np., że „Dwaj stryjeczni bracia (Jagiello i Witold) różnili się co do niejednej rzeczy, czasem sobie przeciwdziałali, lecz obaj do jednego ostatecznego zmięrzali celu: oparcia politycznej potęgi późniejszej Rzeczypospolitej na prawnopolitycznym związku dwóch równorzędnych części — Polski i Litwy”.

To są *ipsissima verba* p. Testis'a. Gdzież tu prawda historyczna, jeżeli p. Testis twierdzi, iż Jagiello i Witold zmięrzali do jednego celu? Przecież każdemu wiadomo, że przez całe życie Witold walczył z Jagiellą i walczył wszystkimi środkami zmierzając do ugruntowania niepodległej Litwy, Jagiello zaś o interesy Litwy zupełnie nie dbał.

Ale kwestja znajomości historii p. Testis'a nas mniej interesuje. Nam chodzi o co innego. Mianowicie o to, że p. Testis, nie mając jeszcze na swoje pytanie odpowiedzi rządu polskiego, zgóry przesądza, iż odpowiedź wypadnie taka, jakiej on pragnie. A chce on ni mniej ni więcej, żeby rząd obecny Rzeczypospolitej Polskiej uważał siebie za spadkobiercę dawnej Rzeczypospolitej. Nie jest jasnym dostatecznie, jakiej mianowicie Rzeczypospolitej, czy początku XV wieku (właściwie państwa polsko-litewskiego) czy końca XVIII? A to wielka różnica. I dlatego pietyzm dla Witolda ze strony p. Testisa, którego stanowisko jest całkiem niezgodne z tradycjami wielko-litewskimi, nie może nie obudzić poważnych wątpliwości i zastrzeżeń.

Jeszcze dziwniejsze są zakusy p. m. ze „Słowa”, który bez żenady nazywa Witolda „naszym”. Nie mam zamiaru polemizować z tego rodzaju bezpodstawną frazeologją, śmiem jednak skierować pod adresem tych publicystów jedno zasadnicze pytanie. Co macie, moi panowie wspólnego z ideą przewodnią — niepodległości Litwy — Witolda Wielkiego, jeżeli tak śmiało przywłaszczacie go, jako „swego”? Prze-

cież panowie dobrze wiecie, że wszystkie wasze frazy na temat W. Ks. Litewskiego są pozbawione treści wewnętrznej, albowiem całym swym postępowaniem dawno zerwaliście wszelką łączność z narodem litewskim, który był budowniczym W. Ks. Litewskiego! Czy dzisiejsza wasza, panowie, działalność polityczna, społeczna i publicystyczna pozostaje w jakimkolwiek związku z przeszłością i przyszłością Litwy? Musicie odpowiedzieć: nie. Stoicie na innym gruncie politycznym, działacie w innym kierunku.

Wobec tego, poco ten cały hałas i poco ten sztuczny entuzjazm?

Jeżeli chcecie uczcić Witolda Wielkiego, to uczcijcie go, jako bohatera Grunwaldu, który przyczynił się najbardziej do złamania raz na zawsze potęgi Krzyżaków i w ten sposób zapewnił nie tylko swojej ojczyźnie Litwie, ale również i Polsce dalszy i swobodny rozwój. A pozatem — Witold Wielki pozostaje bohaterem narodu litewskiego i tych nielicznych, lecz szczerych wyznawców i obrońców idei W. Ks. Litewskiego.

R. Mackiewicz.

(Przyp. Red.). Chętnie udzielamy miejsca powyższemu zarzutom publicysty litewskiego, będącym, zdaje się, wyrazem zapatrywań przeciętnej opinii w społeczeństwie litewskim, ponieważ dają one nam wyborny punkt wyjścia do omówienia kwestji obchodu rocznicy Witoldowej na naszym gruncie wogóle i wyjaśnienia szeregu nieporozumień, które najniepotrzebniej mącą atmosferę jubileuszową dzięki uprzedzeniu i podejrzliwości z jednej strony, a powierzchownemu traktowaniu sprawy z drugiej.

Niektóre zarzuty p. Mackiewicza są najzupełniej uzasadnione, inne całkiem nie trafiają nam do przekonania.

Do kategorii tych ostatnich należy pytanie, postawione przez p. Mackiewicza na początku jego artykułu: dlaczego prasa polska tak długo milczała o rocznicy Witoldowej. Cóż w tem dziwnego? Dopiero rok obecny jest rokiem jubileuszowym, więc nie było racji poruszać kwestji obchodu wcześniej. Przecież i „Przegląd Wil.”, któremu autor nie od-

Jam im poddawał. Wyście mi koronę,  
Z głowy Jagielly zdjawszy, oddać chcieli.  
Mnie nie korony waszej, ale Litwie  
Trzeba potęgi, potrzeba swobody.  
Na trzy dni tylko dajcie mi koronę!  
Litwo! o Litwo! jam ci oddałem życie,  
Wszystko dla ciebie poświęcone — stracone.  
Trzy dni Zbigniewie! na dzień daj koronę!

Mniej się udał poecie opis odwiedzin Jagielly u umierającego, pożegnanie obu braci i roli opiekuńczej, jaką przytem odegrał kardynał. Szczerością tchną jedynie ostatnie słowa Witolda, z których przebijają stała i niezmienna troska o losy ojczyzny.

— Bądź mi zdrów Jagiello!  
Bądź zdrowa żono! bądź, o Litwo, zdrowa,  
Litwo! korono! Litwo nieszczęśliwa!  
Ja zamknę oczy, ty padniesz rozdarta,  
O! ciężko myśleć, kraju mój, o tobie!  
Ty się rozpadniesz, ty umrzesz mym zgonem!—

— Odśłońcie okno — rzekł — niech świat zobaczę,  
I Litwę moją, i Trockie jezioro,

Podnieście starca — niech raz jeszcze oko  
Wzleci po górach, po lasach, po wodach,  
Niech je pożegna, jak was pożegnało...

— — — — —  
Spadła zasłona — i noc widać ciemną;  
Na tle jej chmurnem gwiazdy rzadkie płoną,  
Migają, gasną, a Trockie jezioro  
Falami bije o milczące brzegi,  
I krzyk Pełedy w dali się rozlega”.

Taki jest koniec bohatera i zarazem poematu „Witoldowych bojów.” Przytoczyliśmy kilka zeń wyjątków, by zwrócić uwagę czytelników na zapomniany już dziś prawie utwór, który jednakże zasługuje na lepszą o nim pamięć. A kiedyż jest stosowniejsza po temu pora, jak nie w roku jubileuszowym, gdy wszystko, co dotyczy postaci wielkiego męża, powinno budzić żywe zainteresowanie w społeczeństwie krajowym?

K. W.

mawia moralnego prawa przemawiania za uczczeniem pamięci Witolda Wielkiego, dopiero w pierwszym numerze tego roku zabrał głos w sprawie obchodu, być może dając w ten sposób impuls do wystąpienia „Kurjerowi Wil.” oraz „Słowo”.

Ale to jest drobiazg. Ważniejszą jest pretensja publicysty litewskiego do wspomnianych wyżej organów, że przyznają się do pokrewieństwa duchowego z ideą W. Ks. Litewskiego i uważają Witolda za postać historyczną bliską sobie i drogą. Jeszcze mocniej i jaskrawiej ten sam zarzut sformułowano w „Viln. Rytėjus” (Nr. 11), gdzie wytknięto wileńskiej prasie polskiej obłudę i dwulicowość.

Nie ulega wątpliwości, że ani „Słowo”, ani „Kurjer Wil.” nie wiele mają wspólnego z ideą Witolda Wielkiego, który dążył do ugruntowania potęgi niepodległego państwa litewskiego. Słuszną jest też uwaga, że w żadnym razie rząd polski nie może uchodzić za spadkobiercę spuścizny ideowej Witolda.

Ale czy jest wskazaniem tłumić i gasić te iskierki sentymentu i przywiązania do przeszłości, które tlą się dotąd w popiele, co skutkiem wiekowego spalania się własnych tradycji historycznych i odrębnych aspiracji politycznych, grubą warstwą przysypał świadomość wynarodowionych od niepamiętnych czasów potomków rycerskich uczestników bojów Witoldowych?

Jest wyraźna niekonsekwencja w stanowisku nacjonalistów litewskich. Z jednej strony całkiem słusznie mają za złe Polakom litewskim ich ciężenie do Polski, uleganie bezkrytyczne dyrektywom warszawskim, brak samodzielności i zrywanie wszelkiej łączności z dążeniami narodu litewskiego. Z drugiej strony jednakże, gdy się w miejscowym społeczeństwie polskim zaznaczają jakiejkolwiek tendencje krajowe, obudzą się platoniczne chociażby sympatje do wspólnych ideałów historycznych, zaczynają się zaraz złośliwa krytyka, drwiny i uszczypliwe wycieczki.

Myśl polityczna litewska powinna sobie zdawać należycie sprawę z tego, że jedyną drogą do znalezienia wspólnego języka politycznego pomiędzy Kownem a Wilnem jest mocne stanięcie na gruncie historycznym, sięgnięcie przez obie strony do tego samego źródła ożywczego tradycji dziejowych. Jest to jedyny punkt wyjścia, który może doprowadzić do celu. Ale nie mamy zamiaru na tem miejscu omawiania tego zasadniczego tematu w całej jego rozciągłości.

W odniesieniu do kwestji obchodu rocznicy Witoldowej — stawiamy pytanie tak: co jest bardziej wskazaniem, czy aby ludność dawnej stolicy Litwy uczciła pamięć swego znakomitego ongiś władcy, wyłącznie jako bohatera z pod Grunwaldu, na równi z Krakowem, gdzie podobno szykuje się obchód o takim właśnie charakterze u stóp pomnika, wzniesionego tam przed 20 laty przez Paderewskiego, czy też, aby Wilno złożyło hołd Witoldowi, jako *swemu* wielkiemu księciu, jako *swemu* ongiś panującemu, *swemu* znakomitemu wojownikowi, który walczył obok Polski, gdy groziło wspólne niebezpieczeństwo, ale też walczył i z Polską, gdy ta chciała być nie towarzyszką, lecz panią Litwy?

Cóż z tego, że obecne dążenia polskiego społeczeństwa na Litwie odbiegły daleko od planów Witoldowych! Jakże dalekim jest przeciętny człowiek współczesny od wskazań Chrystusowych! Ale, gdy grzeszny tłum gromadzi się w kościele na uroczyste nabożeństwo, nikomu z najgłębiej i najczyściej wie-

rzących nie przychodzi na myśl, że należałoby zamknąć podwoje świątyni przed ciżbą obojętnych i ciekawych. A może na niejednego z tych, co przyszli tylko przyrzeć się wspaniałym ceremonjom, spłynie łaska Boża i oświeci jego zbłąkaną duszę?

Można i należy protestować przeciwko wypaczaniu prawdziwych intencji Witolda, przeciwko próbom fałszowania historii, których napewno nie zbraknie przy sposobności obchodu, ale w żadnym razie nie wolno zrażać do samej myśli uczczenia jego pamięci w Wilnie, jako wielkiego księcia litewskiego, nie wolno drwić, gdy Polak litewski nazwie Witolda Wielkiego „naszym księciem”.

Czyż synowie marnotrawni nie mają prawa mówić o swym ojcu „nasz ojciec”, chociażby nawet poszli wręcz inną drogą, niż im nakazywały tradycje domu rodzicielskiego? Gdy nie wygasło jeszcze poczucie węzłów krwi, jest nadzieja na powrót do rodziny. Tylko suche gałęzie należy obcinać starannie.

## Wileńskie Towarzystwo Rolnicze\*).

(Z powodu 30-lecia).

W grudniu ub. roku przypadła trzydziesta rocznica założenia Wileńskiego T-wa Rolniczego. Niedawno obchodzono dosyć uroczystie ten jubileusz w Wilnie. Wileński „Tygodnik Rolniczy” wydał nawet specjalny numer, poświęcony temu jubileuszowi. Zbrano tam szereg wspomnień, opracowanych przez działaczy Wil. Tow. Rol., co dało poniekąd przegląd 30-letnich dziejów Towarzystwa.

Ten 30-letni okres istnienia Wil. Tow. Rol., rozpoczynający się w r. 1899 — nie jest pozbawiony znaczenia ogólniejszego, gdyż sięga czasów na kilkanaście lat przed wojną, z którymi „nowe” dzieje kraju naszego niechętnie nawiązują kontakt.

Historja tego 30 lecia — odzwierciedla nam kilka ciekawych momentów, związanych ściśle z przeżyciami politycznymi naszego kraju.

W okresie popowstaniowym szlachta nasza, a ta tylko w owych czasach odegrać mogła rolę w życiu społecznym wsi — znalazła się w położeniu bardzo ciężkim: konfiskaty majątków, kontrybucje i t. p. oraz wyjątkowo ostry kurs polityki rosyjskiej, wymierzony specjalnie przeciwko właścicielom ziemskim „polskiego proischożdienia”, wpływały przynębiająco na ziemian ówczesnych. Nie było wówczas i mowy o jakimś zorganizowanym życiu społecznym. Dopiero po roku 1880 zaczęto robić starania o zalegalizowanie w Wilnie Towarzystwa Rolniczego. Ówczesnemu marszałkowi szlachty hr. Adamowi Broel-Platerowi udało się w r. 1881 wyjednać w Petersburgu zezwolenie na założenie Towarzystwa Rolniczego w Wilnie. Jednakże stanowczy sprzeciw miejscowych władz uniemożliwił skutecznienie tego projektu. Gdy jednak w latach późniejszych ukazał się ramowy statut Towarzystw Rolniczych dla całej Rosji, ziemianie z Wileńszczyzny ponawiają próby założenia T-wa Rol. w Wilnie, które zostają uwięzione wreszcie powodzeniem w końcu 1889 roku.

\*) Artykuł niniejszy ukazuje się ze znacznym opóźnieniem. Był on przeznaczony do numeru poprzedniego, ale ze względu na swe obszerne rozmiary nie mógł być w nim zamieszczony. (Red.).

Władze rosyjskie, dając zezwolenie na założenie T-wa Rolniczego, wprowadziły znaczne ograniczenia. Mianowicie, prezesem T-wa Rolniczego musiał być z urzędu gubernjalny marszałek szlachty (priedwoditel dworianstwa) językiem urzędowym mógł być tylko język rosyjski.

Ponieważ prezesem Towarzystwa Rolniczego musiał być z urzędu gubernjalny marszałek szlachty, przeto obierani przez ogół zrzeszonych rolników vice prezesi byli z reguły faktycznymi prezesami. Takim pierwszym urzędującym vice prezesem Wil. T-wa Rol. był p. Hipolit Gieczewicz, który pełnił swoje obowiązki od r. 1899 do 1905. W tym okresie pięcioletnim T-wo Rol. rozwijało się jeszcze bardzo wolno, gdyż nie było mowy wówczas o rządowych subwencjach, a składki członkowskie o wiele nie wystarczały. Działalność T-wa Rol. polegała głównie na wygłaszaniu referatów, odczytów i na zebraniach towarzyskich. Jednak już w tym okresie, a mianowicie w r. 1900 powstaje Skład Rolniczy, który przetrwał aż do dnia dzisiejszego. W tym że okresie odbyła się pierwsza na większą skalę pomyślana wystawa rolnicza, która nosiła charakter ogólnokrajowy. Wystawa ta odbyła się w r. 1902. Spowodowała ona bardzo liczny zjazd ziemian z rozmaitych części kraju i była połączona z licznymi zebraniem, festynami i t. p.

Rok 1905-6 rozpoczyna drugi okres historii T-wa Rol. Liberalny powiew po rewolucji w znacznym stopniu wpływa na życie organizacyjne T-wa Rolniczego. Jakkolwiek trwają w dalszym ciągu ograniczenia językowe, jednak organizacyjnie T-wo Rol. rozrasta się znacznie, a prace jego nabierają szerszego zasięgu. Wkrótce udaje się wydostać od rządu subsydia na prace rolnicze, co pozwala na zaangażowanie fachowców i na rozszerzenie zawodowej działalności. W tym okresie powstają różnorodne sekcje i komitety przy T-wie Rol., gdzie skupia się zróżniczkowana zawodowa praca. W tym okresie powstaje szkoła rolnicza w Woroncu, na założenie której złożył znaczną ofiarę ks. Wł. Drucki-Lubecki. Szkoła ta przetrwała do wojny, wypuszczając co roku spory zastęp wykwalifikowanych rolników ze średnim wykształceniem. Podczas wojny została ona doszczętnie zniszczona, a rząd polski już jej nie odbudował, przeciwnie majątek szkolny został rozparcelowany między osadników.

W r. 1911 założona została z inicjatywy T-wa Roln. Stacja Doświadczalna w Bieniakoniach, która trwa i obecnie, oddając rolnikom miejscowym znaczne usługi. W tymże czasie powstaje miejscowe pismo rolnicze „Tygodnik Rolniczy”, który i obecnie wychodzi.

Ten okres od 1905 do 1915 r. okazał się bardzo płodnym w życiu Wil. T-wa Rol. Skupiają się w nim ludzie energiczni, z inicjatywą i szerszymi poglądami na sprawy ogólne. T-wo Rol. rozbudowuje się bardzo znacznie przez swoje sekcje i komitety i rozpoczyna w tym okresie szerszą działalność wśród ludności włościańskiej, przez tworzenie kółek rolniczych. Wil. T-wo Rolnicze staje się wówczas wybitnym ośrodkiem pracy zawodowej i społecznej. Zaczyna ono odegrywać bardzo poważną rolę i w szerszym życiu społecznym. Obok Banku Ziemińskiego, jest to instytucja, która skupiała w sobie czynny wówczas element inteligencji wiejskiej.

Trzeba tu odnotować rzecz znaną dla ówczesnych czasów. Pomimo to, że T-wo Rol. faktycznie zostaje w rękach ziemian, o wybitnie konser-

watywnem i ugodowem zabarwieniu — panuje w nim duch liberalizmu w stosunku do osób o innych poglądach politycznych. Wówczas znajdują przytułek i pracę w T-wie Roln. ludzie bardzo nieraz odbiegający swymi poglądami od właściwie kierujących sfer T-wa. Pracuje wówczas w T-wie Roln. szereg młodych ludzi o radykalnych nieraz poglądach np.: Ludwik Chomiński, Witold Staniewicz, W. Czyż, Ludkiewicz, St. Heltman, Sokołowski. Na dyrektora Składu powołany został inż. Waclaw Iwanowski, wówczas jeden z przewodców ruchu białoruskiego.

Ta tolerancja cudzych przekonań politycznych i społecznych, dziś tak rzadko spotykana — nadawała ówczesnemu T-wu Roln. cechy instytucji będącej odpowiednikiem szerokiego ogółu rolniczego. Nadawało to mu szersze znaczenie społeczne i zjednywało ogólne zaufanie w społeczeństwie.

W okresie wojny światowej dzieje Wil. T-wa Rol. przybierają swoiste formy. W kraju pozostaje nieliczna garść działaczy T-wa. Okupacja niemiecka uniemożliwia szerszą działalność, a warunki życiowe skierowują tę działalność na specjalne tory. P. Ludwik Chomiński, który był wówczas głównym organizatorem życia T-wa Rol. — obszernie opisuje dzieje tego okresu w „Tygodniku Rolniczym”. Działalność Towarzystwa skierowaną została wówczas głównie ku obronie mienia rolników, grabionych przez okupantów. Powstało więc „Biuro Porad Prawnych”, które w znacznej mierze stało się „biurem pisania podań do władz niemieckich”. W znacznym też stopniu koncentrowało się w Tow. Rol. życie polityczne.

W latach wojny 1919/20 życie Wil. T-wa Rol. prawie zupełnie zamarło, poza pewnymi organizacyjnymi próbami w r. 1919.

Powojenny okres historii Wil. T-wa Rol. rozpoczyna się w r. 1920/21. Jest on bardzo charakterystyczny. Zdawało by się, że w porównaniu do czasów z przed wojny, pod opieką władz polskich T-wo Rol. wejść powinno w okres swego rozkwitu i wzmożonej działalności. Stało się jednak inaczej. Raczej powiedzieć należy, że w porównaniu do okresu przedwojennego, po wojnie Wil. T-wo Rol. systematycznie zmierza do upadku.

Przyczyn tego dziwnego zjawiska szukać należy w powstałych po wojnie warunkach gospodarczych i polityczno-społecznych. Nie ulega wątpliwości, że wpłynęły na to zniszczenia wojenne. Warstwa ziemiańska, z której głównie rekrutowali się działacze T-wa Rolniczego, uległa ogromnej depresji i zubożeniu. Wojna zniszczyła wiele warsztatów rolnych przedtem świetnie rozwijających się. Rozproszyła też ludzi po świecie. Po powrocie na własne zagony ludzie brali się najpierw do naprawy zrujnowanych warsztatów rolnych. Zapal do pracy społecznej zmalał w tych warunkach. Był potrzebny okres czasu dla przyjscia do mniej więcej normalnego stanu. Tymczasem zrujnowana większa i średnia własność ze strony rządu polskiego nie tylko nie doznała skutecznej pomocy ekonomicznej, lecz naodwrot nastawienie rządów ówczesnych było mocno nieprzychylnie dla warstwy ziemiańskiej. Posypały się podatki, świadczenia i t. p. ciężary państwowe. Towarzystwo Rolnicze musiało nie tylko organizować dożałą pomoc zrujnowanym warsztatom, dostarczyć ziarno na siew i przeżywienie inwentarza i t. d., lecz nieść musi swym członkom „radę i obronę przed sypiacem się, jak z rogu obfitości przepisami, ustawami, zakazami i t. d. i bronić swych członków przed „niepotrzebnymi zarządzeniami władz, które w spo-



kojną i żmudną pracę odbudowy wprowadzały chaos i zamieszanie.\*) To wszystko nie sprzyjało szybkiemu odbudowywaniu się działalności Wil. T-wa Rol.

Lecz nie w tem tylko kryją się powody osłabienia działalności Wileńskiego T-wa Rolniczego. Na terenie wsi ukazuje się poważny „konkurent”. Wład za armją polską wkracza na teren naszego kraju nowym czynnikiem społecznym, o charakterze nawpół urzędowym — jest to „Straż Kresowa”. W tym czasie, kiedy to jeszcze rozproszeni przez wojnę rolnicy nie zdołali usadowić się na własnych zagonach — instytucja ta, rozporządzająca znacznymi środkami rządowymi, rozpoczyna na szeroką skalę pomyślaną akcję społeczną. Wprowadza ona nowe metody organizacyjne, a działacze owej „Straży Kresowej”, przeważnie przybyli tu z centralnej Polski, uważać siebie poczeli za monopolistów pracy społecznej na terenie tutejszej wsi. Uważając siebie za pionierów polskości i postępu, korzystając z dużego poparcia moralnego i materialnego rządu, nie nawiązując kontaktu z miejscową inteligencją — rozpoczynają szeroko zakrojoną akcję organizacyjną.

Oni to powołują do życia konkurencyjną dla Wil. T-wa Rolniczego Organizację Kółek Rolniczych. Korzystając z pewnego zastojów w Wil. T-wie Rolniczym, wchodzą na wiejski teren bez konkurencji, zaopatrzeni w znaczne środki materialne. Ta nowa organizacja cieszy się poparciem Warszawy, jest mile widziana i wspierana przez władze i pewne sfery polityczne. Stając na gruncie pewnego radykalizmu społecznego „nowi ludzie” ogłaszając odważnie siebie za „reprezentantów drobnego rolnictwa”, usadawiają się mocno na terenie tutejszej wsi. Do pomocy staje wkrótce osadnictwo wojskowe, wówczas nasadzane w naszym kraju. T-wo Rolnicze zostaje wkrótce zepchnięte ze stanowiska organizacji ogólnokrajowego charakteru, jaką ono było przed wojną i powoli staje się organizacją prawie wyłącznie ziemianką.

Subwencje rządowe nie dopisują i konkurencja z nowym „kolegą” staje się zbyt trudną. Raz zepchnięte z zajmowanego przed wojną stanowiska, Wil. T-wo Rolnicze nie może już podnieść się do swojej przedwojennej świetności. To też powoli zaczyna więdnąć.

Powojenne więc dzieje Wil. T-wa Rolniczego nie są zbyt bogate. Nie będziemy przeto niemi się szerzej zajmować.

W ostatnich czasach, z pewnych względów, rzekomo charakteru gospodarczego, a zdaje się przeważnie politycznego, w Warszawie powstała idea unifikacji organizacji rolniczych. Tej unifikacji życzyły sobie sfery rządzące. Ponieważ zaś organizacja Kółek Rolniczych dosyć poważnie zaangażowaną została w akcję polityczną, mając na czele posłów sejmowych — przeto stała się ona gorącą zwolenniczką tej unifikacji. Tembardziej, że szło to po myśli działaczy tej organizacji, którzy, jako ludzie przybyli do nas nie tak dawno, stale dążyli do ścisłej łączności z organizacjami rolniczymi w rdzennej Polsce. Powstała więc nowa organizacyjna koncepcja: ścisłego, organizacyjnego zespolenia się z centralą warszawską. Wileńskie T-wo Rolnicze ulega tej koncepcji i, zrzekając się swej samodzielności, wchodzi w skład nowej organizacji zunifikowanej, pod dzi-

wacznie skombinowaną nazwą Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych. Staje się to w połowie ubiegłego roku.

Na tem kończą się dzieje Wileńskiego Towarzystwa Rolniczego, które przetrwało w ciągu lat 30. Historja jego stanowi część dziejów naszego kraju.

Ten końcowy powojenny okres dziejów Wil. T-wa Rol., a szczególnie sama likwidacja Towarzystwa, stanowi znamienne *signum temporis*. Instytucja bądź co bądź zrosnięta z krajem, mająca za sobą szereg lat zasłużonej pracy, swoje tradycje — musiała ulec likwidacji, gwoili zasadom wszystko niwelującego centralizmu. Unifikatorskim tendencjom stało się zadość. Panowie, którzy dziś rej wodzą na powierzchni naszego rolniczego życia, którzy reprezentują to życie „na zewnątrz” — uważać siebie mogą za triumfatorów. Dokonali tak upragnionego „zespolenia”, ich unifikatorskie tendencje uwieńczone zostały narazie powodzeniem.

Należy jednak zastanowić się nad rolą tutejszego ziemianstwa. Skąd powstała ta pochopność większych i mniejszych żubrów tutejszych pójsia na „zieloną trawkę” tej całej warszawsko-centralistycznej kombinacji? Stanowi to jeszcze jedno testimonium paupertatis naszego ziemianstwa, które z dziwnym zaślepieniem i biernością poddaje się wszelkim centralistycznym zakusom. Z tępą biernością istnego popychadła poszło pod komendę sprytnych unifikatorów z pod znaku byłej „Straży Kresowej”, którzy zepchną je wkrótce z widowni społecznej, aby tem łatwiej móc reprezentować w dalszym ciągu naszą wieś „na zewnątrz”. Utracona przez ziemian rola nie powróci już do nich. Bóg z nimi.

W jakie formy ostatecznie wyleje się organizacyjne życie naszej wsi — trudno dziś przewidzieć. Nie miejmy jednak złudzeń, że to, co dziś „na powierzchni życia” wiejskiego się dzieje, jest mocne i trwałe.

*Rusticus.*

## Nieporozumienie.

Od jednej z czytelniczek naszego pisma, zdecydowanej zwolenniczki ideologii krajowej otrzymujemy obszerny list, zawierający krytykę artykułu, zamieszczonego w numerze poprzednim p. t. „Akcja rewindykacyjna”. Ponieważ zarzuty naszej korespondentki nie są wyrazem jej zapatrywań indywidualnych, lecz odzwierciedlają poglądy szerokiego ogółu katolickiego u nas, sądzimy, że nie będzie bez pożytku zapoznanie się ze stanowiskiem zwolenników bezwzględnych akcji episkopatu polskiego i wykazanie, w czem tkwi słaba strona ich argumentacji.

Nasza korespondentka pisze między innymi: „Nie można utwierdzać w kraju naszym zbrodni Mikołaja I, zabijającego lub oślepiającego despotyzmem swoim miliony sumień, ani hodować owoców zdrady Siemaszki. Trzeba przywrócić w społeczeństwie wieczyste zasady sprawiedliwości, prawa własności i miłości bliźniego. Ale jak odzyskanie niepodległości kosztowało wiele bólu i krwi, tak rewindykacja kościołów łacińskich i unickich nie może się obejść bez cierpienia; tak jest zawsze z nawrotami sprawiedliwości w dziejach ludzkich; i my tego uniknąć nie możemy.

Despoci i zdrajcy zaszczepili ludowi chorobę,

\*) Patrz „Tygodnik Rolniczy” Nr. 3—4. K. Wagner: Wileńskie T-wo Rol. po wojnie.

Lud cierpi, szuka prawdy (różne sekty) i wpada w sidła bolszewizmu. Zaszczepione mu prawosławie paraliżuje go, marnuje jego wrodzone siły. Bez kroku radykalnego, bez przywrócenia działania praw wieczystych, nie wróci ludowi spokój, nie rozwinie się w nim w pełni samowiedza wolnego człowieka i obywatela.

Kogo jedynie zaboli nadchodząca dziejowa sprawiedliwość (*redde quod debes*)? Tylko duchownych prawosławnych i ich rodziny. I to stosunkowo niewielu. Na czterysta kilkadziesiąt cerkwi dzisiejszych metropolita wileński rewindykuje sto kilkadziesiąt (nie mam pod ręką cyfr ścisłych). Tak samo proporcjonalnie domaga się — od mnóstwa zabranych obiektów odwracając oczy — biskup Łoziński. „Sprawiedliwości!” woła taki wielki przyjaciel Wschodu i Rosji arcybiskup Ropp („Kitież” Nr. 9—12). Tylko u nas bierne i obojętne żywioły, nie sięgając do głębi, lawirują między bezprawiem a prawem, nie zastanawiając się nad tem, co to jest wieczyste prawo, — jak to niegdyś społeczność W. Ks. Litewskiego umiała — i nad zasadę stawia każdy swoje indywidualne poglądy. Wnosić można, że sądy w ogromnej ilości wypadków będą płytkie i niesprawiedliwe, a lud znowu zdezorjentowany i wyprowadzony w pole.

Czyż „Vigilans” nie widzi, że z ludem jest źle, że duchowni prawosławni nie dadzą mu, szczególnie w tak zmienionych czasach, potrzebnych podstaw moralnych, że lud popów nie szanuje, bo widzi ich materializm i na rodziny ich musi pracować. Niema żadnej racji w podtrzymywaniu tego stanu rzeczy. Trzeba go poprawić. A poprawa jest w ręku sędziów i rządu. Lecz te obie siły oglądają się na opinię publiczną i prasę... Z ludem widzimy, że jest moralnie źle; prawosławie nie uratuje go od bolszewizmu, a rząd prawosławie popiera... Biskupi musieli sprawę podnieść, aby kłamka nie zapadła.

Czy to uczynili bez miłości bliźniego — owego trzeciego wieczystego filaru trwania społeczeństwa? Tylko zwrotu około trzeciej części cerkwi żądają biskupi katolicy, a wszakże większość ich była unicka. Jest więc ta potrzebna względność dla mikołajewskiego wyznania, o ile ludność nie zechce wrócić do wyznania przodków, o czem jednak doskonale pamięta.

Jeżeli zaś adwokaci przed sądami, obrońcy — jak zwykle na świecie choćby najbardziej krzywej sprawy — zechcą twierdzić, że prawosławie ma rację, bo schyzma tu była niegdyś starszą od Unji — smutna to będzie rzecz, jeśli sędziowie i publiczność zapomną, że sami episkopi schyzmatyccy zainicjowali unję, a zwolna poszedł za nim lud nasz prawie cały, bez knutów i zsyłki“.

Oto są ważniejsze ustępy ze wspomnianego listu. Nie będziemy polemizowali z jego autorką na temat wieczystych prawd i prawa własności ani też nie będziemy poruszali tu historii. Za dalekoby to nas zaprowadziło. Stańmy na punkcie widzenia naszej korespondentki, że prawosławie jest *chorobą* i że nie daje ono ludowi podstaw moralnych, słowem, że należy dążyć za wszelką cenę do jego wytepienia, by utorować drogę katolicyzmowi. Czy nawet z takiego założenia wychodząc można uważać akcję rewindykacyjną za celową i uzasadnioną?

Czyż naprawdę może ktokolwiek sądzić na serjo, że skoro się odbierze prawosławnemu ludowi w poszczególnych miejscowościach jego świątynie, to lud ten w tych właśnie okolicach rzuci się gromadnie

w objęcia katolicyzmu? Czy nie jest o wiele bardziej naturalnem przypuszczenie, że lud ten, pozbawiony wszelkich pociech religijnych, rozgorączony czy też podniecony — jak chce autorka — przez jedynie niezadowolone duchowieństwo prawosławne, raczej stanie się wdzięcznym materiałem dla agitacji wyrotowej, niż dla misjonarzy katolickich? Nie wyobrażamy sobie poprostu możliwości prowadzenia jakiegokolwiek działalności misyjnej katolickiej w takiej miejscowości, gdzie od stu lat może istniejąca jako cerkiew prawosławna świątynia zostanie na mocy wyroku sądowego odebrana i przerobiona na kościół.

Właśnie z punktu widzenia wyłącznie interesów kościoła katolickiego można mieć poważne wątpliwości co do słuszności i użyteczności rewindykacji kościołów, przerobionych na cerkwie. Zresztą o wiele wymowniej i przekonawiej oświeciła tą sprawę autorytatywny głos ks. metropolity Szeptyckiego, który zamieszczamy poniżej.

*Vigilans.*

## Metropolita Szeptycki o rewindykacji cerkwi.

Prasa polska otrzymała tekst wywiadu z metropolitą obrz. grecko-katolickiego we Lwowie, ks. Szeptyckim, który brzmi:

— Czy Wasza Ekscelencja jest również zainteresowany w sprawie rewindykacji świątyń prawosławnych na kresach i z jakiego punktu widzenia Wasza Ekscelencja formułuje to zainteresowanie?

— Ludność sąsiedniego Wołynia np. — odrzekł ks. metropolita — mogłaby interpretować takie powiedzenie zgoła inaczej, niż ja je rozumiem. Mamy na Wołyniu sporo naszych gr.-kat. wychodźców. Dotychczas byli oni, niestety, prawie zupełnie pozbawieni obsługi religijnej w naszym obrządku. Sprawa owej „rewindykacji” mogłaby ich postawić w jeszcze trudniejszym położeniu. A przytem proszę pamiętać, że jeszcze nie tak dawno Wołyń był krajem katolickim — naszego obrządku, że obecna ludność tameczna częstokroć nie kryła swych sympatyj do naszego kościelnego porządku, że przecież los jej dusz nie może pozostawiać nas obojętnymi...

— A zatem Wasza Ekscelencja jest za słusznością i użytecznością rewindykacji?

— Właśnie chciałem powiedzieć coś zgoła odmiennego, nie chciałbym jednak, aby mnie źle rozumiano. Nie wchodzę w sprawy kościołów ongiś łacińskich. To do mnie nie należy. Jeśli ks. biskupi obrządku łacińskiego sądzą, że należy rewindykować je i że można to użytecznie uczynić, a także, że te kościoły są im potrzebne i że dadzą się z łatwością zbywającym klerem obsadzić, to oczywiście jest ich rzeczą sądzić o tem. Ale wśród tych kościołów, bardzo wiele — to stare, dawne cerkwie grecko-katolickie.

— Właśnie. Czy Wasza Ekscelencja może zgłaszać swój akces do tej akcji rewindykacji?

— Nikogo nie upoważniałem dotychczas do wypowiedzania się w moim imieniu w tej sprawie. Wprawdzie pewne zagraniczne sfery katolickie zainteresowały się tą kwestją. Pytano mnie o zdanie. Nie ogłaszałem jednak dotąd mego punktu widzenia. Akcesu zresztą zgłosić nie mogłem, bo stosunki obecne nie przewidywały mego uczestnictwa, czy zainteresowania w kościelnych sprawach Wołynia naprzy-

kład, czy dawnego rosyjskiego Podola. A w każdym razie, zważywszy różne okoliczności, nie byłbym mógł go zgłosić.

— Jakto? Czyż Wasza Ekscelencja woli, by te cerkwie pozostały w ręku prawosławia?

Tu zaigrał uśmiech na ustach metropolity.

— Rozmaite są prawosławia... to po pierwsze: za wiedzą i wolą Stolicy Apostolskiej i my niekiedy używamy tego terminu, np. w Służbie Bożej. Ma ona na Wschodzie swe dawne katolickie znaczenie. Co zaś się tyczy tak zw. „prawosławnych”, to jest wiernych dawnej Cerkwi synodalnej rosyjskiej, czy jak obecnie autokefalne prawosławnej Cerkwi w Polsce, to wydaje mi się, że bardziej trzeba patrzeć na dusze, które się modlą, aniżeli na świątynie, w których się modlą.

— Ależ... wszak te kościoły były jeszcze przed niespełna wiekiem unickimi świątyniami! Przecież rząd rosyjski fałszem, podstępem i siłą oderwał je od jedności katolickiej!

— Właśnie! Dobrze o tem pamiętam i myślę, że ludowi, który przed niespełna zaledwie wiekiem wycierpiał tyle gwałtu w swem sumieniu, a który w swej prostocie czy bezsilności ludzkiej nie umiał, czy nie mógł modlić się gdzieindziej w ojcystym obrządku, jak w tych właśnie cerkwiach, mniemam, że takiemu ludowi nie trzeba nawet pozorem jakimś dać odczuć, jakoby mu się nowy gwałt zadawało. Bo przecież, według prawa wschodniego, te wiejskie cerkwie należą właśnie do tego ludu. W nich on się chrzczył i modlił. Koło nich chował on swych umarłych. W ich murach skupia się to, co w ludzie jest najsilniejsze, a częstokroć najzbawienniejsze wobec agitacji, owa „wiara ojców”. Może chwilowo wielu z pośród ludu dalej nie patrzy... A jeśli czegoś chce, to właśnie tego katolickiego porządku rzeczy, jaki oni pamiętają z oddali i jaki my mamy tutaj. Doprawdy nie! Nie można takiemu ludowi, który religijnie cierpiał, cierpi i obecnie pod względem religji (znane są cerkiewne zamieszki na Wołyniu) narażony jest do tego na wielkie niebezpieczeństwo utraty wszelkiej pozytywnej wiary chrześcijańskiej np. z powodu sekt—dawać odczuwać coś, jak gdyby nowy przymus religijny, czy krzywdę. Zdrowy sąd ludu, wiara ojców, która sięga dalej, prawdziwej i głębiej niż obecny stan rzeczy, cierpliwość Kościoła... powiodą go na lepsze drogi niż wszelkie akcje sądowe, w których będzie się jeno dopatrywał wrogich względem siebie poczynań. Już słyszymy, że wrogo na nie reagować gotów.

— A o jakich niebezpieczeństwach myśli Wasza Ekscelencja?

— Słyszysz się przecież o propagandzie wywrotowej na polu religijnem, o nurtującej sztundzie, która nawet i do łańskich katolików się zwraca i o całym zamęcie narodowo-cerkiewnych uczuć i pojęć, które się tam propaguje. Nie tak dawno temu Stolica Apostolska ofiarowała się odkupywać skonfiskowane przez władze bolszewickie cerkiewne prawosławne przybory, aby je zwrócić do użytku wiernym prawosławnym w Rosji. Kościół chce jedności, bo jej chciał Chrystus Pan, Jego Boski założyciel, ale Kościół nie chce nikomu odbierać wiary. Gdyby doszły do skutku, boję się, by rewindykacje nie pierwszy, ale ten ostatni miały rezultat. Sfery duchowne grecko-katolickie żadnego udziału nie mają w tej rewindykacji. Rad jestem, że mogą to powiedzieć. Wydaje mi się też, że nasze stanowisko jest zgodne z rzymską powściągliwością. Zresztą myślę, że nie

obce są te argumenty ks. biskupom łańskim, zainteresowanym w tej sprawie, myślę bowiem, że tak zwana „rewindykacja” jest w ich oczach prostą demonstracją prawniczą, aby przedawnienie nie uprawniło dawniejszych czynów rządu rosyjskiego. W interesie wszystkich dobrzeby było, aby opinia lepiej ten punkt zrozumiała, niż to obecnie zdaje się czynić

## Z dziejów kościoła katolickiego pod rządami rosyjskimi.

(Przyczynek do kwestji wprowadzenia języka białoruskiego).

Gdy w r. 1896 przybył do Petersburga, na koronację ces. Mikołaja II, nuncjusz papieski Agliardi, rząd rosyjski zaproponował mu wprowadzić do nabożeństwa dodatkowego język białoruski. Zapytani podówczas o zdanie co do tego, biskup sufragan Franciszek Albin Symon i ks. prałat Witold Czeczot, oświadczyli nuncjuszowi, że Białorusini w większości języka polskiego nie rozumieją i że żywą jest potrzeba głosić dla nich naukę i odprawiać nabożeństwo dodatkowe w języku białoruskim.

Na tę samą kwestję, postawioną przez nuncjusza Agliardiego w Warszawie, biskupi polscy odpowiedzieli zupełnie przeciwnie! Wtedy nuncjusz wyznał, że w Petersburgu, z ust biskupa Symona i prałata Czeczota, słyszał co do dopuszczenia języka białoruskiego zdanie odmienne. Biskup płocki Nowodworski żywo odczuł rzekomo grożące Kościołowi niebezpieczeństwo, jeśli projekt wprowadzenia języka białoruskiego doszedł do skutku, więc zasiadł do skreślenia memorjału przeciwko temu projektowi i przy tej pracy dostał ataku sercowego i życie zakończył.

Prasa polska zakordonowa uderzyła na alarm, nie szczędząc przymówek biskupowi Symonowi i prałatowi Czeczotowi. Pod wpływem tych napaści, biskup Symon, bawiąc w Zakopanem, opracował memorjał i w początku września 1896 r. osobiście doręczył Stolicy Apostolskiej w Rzymie. Memorjał ten przedrukowany został w Kownie w r. 1912 w piśmie „Draugija”.

Biskup Symon pisze dosłownie: „Napewno nikt przeczyć nie będzie, że w diecezji mińskiej prosty lud katolicki mówi własnym dialektem prostym, który zajmuje miejsce pośrednie między językiem polskim a rosyjskim, i że lud ten liczebnością znacznie przewyższa szlachtę, mieszczan i t. zw. stan średni używający języka polskiego. Prawie pozbawiony kultury, ten lud, właśnie w modlitwach swoich codziennych i we wszystkich nabożeństwach i potężnych ćwiczeniach religijnych, używa również języka polskiego, lecz większość nie rozumie go, jak nie rozumie też polskich nauk katechizmowych i kazań. Dlatego już dawno kapłani, pracujący w duszpaństwie wśród tych włościan, postarali się o wydanie w ich dialekcie małego katechizmu i niektórych pieśni religijnych, a wydaliby jeszcze więcej, jeśli nie nastąpił zakaz rządu drukowania czegokolwiek w rosyjskich dialektach ludowych, które przeszkadzają rozszerzaniu się panującego języka rosyjskiego. Inni znowu w kościołach swoich wprowadzili ludowe nauki katechizmowe, w tymże dialekcie ludowym,

i to z wielkim *pożytkiem i zbudowaniem* tych włościan... *Trzeba boleć tylko nad tem, że mało było, a dziś jeszcze mniej jest* kapłanów, coby używali tego języka ludowego, którego, przy braku wszelkich pomocy literackich, gramatyk i słowników, można nauczyć się tylko przez dłuższe używanie go i obcowanie z ludem prostym. Dlatego jeśliby mowa szła tylko o wykład katechizmu dla ludu w jego prostym języku, to rzecz ta nie tylko nie budziłaby żadnego zażalenia z punktu widzenia katolickiego, lecz właśnie byłaby bardzo pożyteczną. *Należy więc tylko chcieć, by naogół w seminarjum mohylowskim, które istnieje w Petersburgu alumni uczyli się tej mowy ludowej* u jakiego kapłana, który ją dobrze posiada... Dlatego, według mojej opinji, *erygowanie katedry języka białoruskiego w seminarjum mohylowskim winno być conditio sine qua non* wprowadzenia mowy ludowej do nauczania religji... Zamiast języka francuskiego i niemieckiego, nad którymi niepotrzebnie męczą się alumni tego seminarjum, winni oni raczej uczyć się języka białoruskiego i łotewskiego”.

Dalej utyskiwał biskup Symon na brak literatury religijnej w języku białoruskim, podkreślając potrzebę posługiwania się mową białoruską przy administrowaniu Sakramentów świętych, przy głoszeniu nauk katechizmowych, by pożytek ludziom stąd był większy. Odnośnie przedstawienie biskup Symon czynił też rządowi, lecz ten po manjaku wciąż myślał o narzuceniu Białorusinom mowy rosyjskiej.

Wkrótce metropolita Kozłowski w Petersburgu otrzymał od Stolicy Apostolskiej poufne pełnomocnictwo wprowadzenia do nabożeństwa dodatkowego języka białoruskiego, a nawet i rosyjskiego. Arcybiskup Kozłowski przechował ten poufny dokument w tajemnicy. Wyszedł on na jaw dopiero po jego śmierci.

Po wydaniu manifestu o tolerancji religijnej przez Mikołaja II, rząd rosyjski w r. 1906 uzyskał od Stolicy Apostolskiej zredagowany, czy raczej podpisany przez sekretarza stanu kard. Merry del Val, okólnik, upoważniający biskupów do wprowadzenia języka rosyjskiego. Ten okólnik rząd rozesał biskupom, ci jednak jednogłośnie przedstawili Stolicy Apostolskiej grożące stąd wierze świętej niebezpieczeństwo, jeśliby do nadesłanego okólnika się zastosowano.

Obecny świeżomianowany sekretarz stanu kard. Pacelli pokazywał biskupowi Karewiczowi w r. 1914 w Rzymie te protesty biskupów polskich, a pismo biskupa sufragana Denisewicza, zarządzającego w swoim czasie archidiecezją mohylowską, dał mu nawet do przeczytania. Wskutek tych protestów kard. Merry del Val w r. 1907 wydał ponowny okólnik do biskupów Rosji, w którym wzbraniał wprowadzenia do kościołów nabożeństwa dodatkowego w języku rosyjskim, bez uprzedniego porozumienia się ze Stolicą apostolską. Kiedy ktoś zwrócił uwagę kardynałowi Merry del Val, że krocie tysięcy Białorusinów katolików języka polskiego nie rozumieją, a w swoim języku nic nie mają w kościele, kardynał odpowiedział: „Jeżeli Białorusini, bez żadnej postronnej agitacji, zażądają języka swego w kościele, to, oczywiście, Kościół, jako matka wszystkich narodów, zezwoli na wprowadzenie do nauk i nabożeństwa dodatkowego ich języka, a tymczasem wolno w języku białoruskim drukować i szerzyć katechizmy i książki do nabożeństwa i zbudowania służące“.

Biskup sufragan Denisewicz w r. 1906 własnym kosztem wydrukował kilka tysięcy egzemplarzy białoruskiego elementarza z katechizmem i, za pośred-

nictwem młodszych księży i kleryków, rozpowszechniał to wydawnictwo wśród Białorusinów. Tenże biskup, zwiedzając Mohylowszczyznę, mawiał do Białorusinów nauki w języku białoruskim, jednak nie zdecydował się wprowadzić do nabożeństwa dodatkowego języka białoruskiego, uważając to za rzecz przedczesną. Rząd rosyjski jednak, zamiast zezwolić przy wykładzie nauki religji na język białoruski w szkołach ludowych, domagał się by ten wykład odbywał się w języku rosyjskim.

Zaznaczyć należy, że w końcu r. 1914 czy też na początku r. 1915, biskup Karewicz otrzymał od ministra spraw wewnętrznych zlecenie skłonić księży do wykładania religji, w szkołach wśród ludności białoruskiej, w języku rosyjskim. Dając odmowną odpowiedź, biskup Karewicz oparł się na manifestie cesarskim, zezwalającym na naukę religji w języku ojczystym, i wytłumaczył, że jako biskup, nie może skłaniać księży do narzucania niepożądanego języka przy wykładzie religji, gdyż rodzice w takim razie mogliby całkiem nie posyłać swej dziatwy na lekcje religji.

Rząd rosyjski jednakże, zdaje się obawiał się bardziej rozbudzenia narodowego ruchu białoruskiego, niż polonizacji i ludził się nadzieją, że uda mu się przeforsować wprowadzenie do Kościoła katolickiego na Białorusi język rosyjski.

C. R. M.

## Piszą do nas.

### Oplakane stosunki w parafji hoduciskiej.

Prasa polska oburza się i piorunuje na każdy najdrobniejszy objaw nacjonalizmu litewskiego, rozwodzi się z lubością nad każdym najbłahszym wybrykiem szowinistycznym antypolskim, skrzętnie rejestruje wszystkie posunięcia władz świeckich i kościelnych w Litwie Niepodległej, które mogą się ujemnie odbić na interesach polskośći, ale nigdy nie zdobywa się na tyle bezstronności, by podkreślić i napiętnować krzywdy, jakie wyrządza ludności litewskiej nacjonalizm polski i nietolerancja polska. Mogłoby się zdawać, że tu jest wszystko w porządku, że Litwini w Wileńszczyźnie żadnym szykanom ani ograniczeniom nie podlegają. Myliłby się jednak grubo, ktoby tak sądził. Weźmy dla przykładu stosunki w parafji hoduciskiej.

W kościele miejscowym systematycznie prowadzi się akcja polonizacyjna. Nie tak dawno z ambony została zdjęta wstęga z napisem litewskim i na jej miejsce zawieszona nowa z napisem w języku polskim. Parafjanie Litwini, stanowiący znaczną większość wiernych, nie chcąc pogodzić się z faktem dokonanych, protestowali i składali skargę do Kurji Metropolitalnej w Wilnie, ale nic nie wskórali. Ostatniemi czasy zaszedł inny wypadek.

Ks. proboszcz zarządził, aby w niedzielę, przeznaczone na nabożeństwa litewskie, procesja litewska kroczyła na czele; w niedzielę zaś z nabożeństwem polskim — polska. Roku zeszłego podczas uroczystości Bożego Ciała w dniu przeznaczonym dla Litwinów procesja litewska zajęła swe miejsce. Uczestniczki procesji polskiej, niezadowolone z tego, zaczęły popychać Litwinki, biorące udział w procesji. Powstało zamieszanie. Policja sporządziła proto-

kół i w dniu 21 stycznia r. b. odbył się sąd. Zostały ukarane same Litwinki: J. Szydłowska, E. Stasiunasówna, L. Czepska, L. Petronisówna, R. Burokasówna, J. Czepska, P. Poszunasówna, M. Rymaszówna, J. Malczówna, J. Burokasówna, S. Petronisówna i A. Szydłowska; jako karę wymierzono — albo grzywnę po 80 zł. albo 2 tygodnie aresztu. Czterem Litwinkom, jako niepełnoletnim, wymiar kary został zawieszony.

Na sądzie jako świadek figurował między innymi ks. wikary Baziewicz. Należy zaznaczyć, że w tym czasie, kiedy nastąpiło zajście, ks. Baziewicz był w kościele przy ołtarzu, wypadek zaś miał miejsce na cmentarzu; jednak zeznania ks. wikarego głównie obciążały oskarżone Litwinki...

To ostatnie wydarzenie wywarło na ludności litewskiej przynębiające wrażenie, tem bardziej, że ta ludność jeszcze dobrze pamięta te czasy, kiedy w pocie czoła pracowała przy budowie swej świątyni, nie szcędząc grosza na jej upiększenie.

G—is.

Po długim wzdraganiu się Sejm uchwalił wreszcie wniosek Klubu Białoruskiego o wyasygnowanie 300.000 zł. na seminarjum nauczycielskie białoruskie oraz na wydawnictwo podręczników dla szkół białoruskich. Do realizacji tej uchwały jeszcze jest daleko, bo i decyzja przychylna Senatowi jest potrzebna i dobra wola ministerstwa przy jej wykonaniu. Ale niewątpliwie ma ona wielkie znaczenie zasadnicze, gdyż po raz pierwszy w drodze ustawodawczej stwierdzona została potrzeba oświaty białoruskiej, co dotąd przez ogromną większość opinii polskiej było kwestjonowane.

Z kolei należy przystąpić teraz do restytucji seminarjum nauczycielskiego litewskiego, zamkniętego w okresie słynnych „retorsyj”, o otwarciu którego Litwini, nie mając swego przedstawiciela w Sejmie, tak długo już i niestety bezskutecznie kołaczą u rządu.

## Przeгляд prasy żydowskiej.

*Kwestja narodowościowa w Polsce. — Jątrząca rana: język żydowski i hebrajski. — Imprezy żydowskie w gmachu teatru na Pohulance.*

Przed pół rokiem mniej więcej została powołana do życia komisja porozumiewawcza, złożona z przedstawicieli socjalistów niemieckich, P. P. S. i Bundu dla ustalenia wspólnego programu taktycznego wobec całego szeregu zagadnień wewnętrznych a przede wszystkim w sprawie kwestji mniejszości narodowościowych w państwie polskim. Chodziło nie tyle o mniejszości terytorjalne, ile o mniejszości rozsiane po całym państwie, nigdzie nie stanowiące większości (Żydzi i Niemcy).

Komisja ta zorganizowała szereg wieczorów dyskusyjnych dla wzajemnego zapoznania się z postulatami wysuniętymi przez zainteresowane mniejszości w dziedzinie zadośćuczynienia ich potrzebom kulturalnym.

Na jednym z takich wieczorów poświęconych kwestji szkolnictwa żydowskiego w Polsce w związku z mającym być wniesionym przez P. P. S. do Sejmu projektem regulującym szkolnictwo mniejszościowe, przedstawiciel Bundu, idyszystyczny działacz szkolny

p. Sz. Mendelson wystąpił z wnioskiem, aby w swym projekcie P. P. S. uwzględniła tylko szkolnictwo żydowskie (idyszystyczne) jako jedynie odpowiadające potrzebom mas żydowskich, wypowiadając się przeciwko szkołom hebrajskim, których tło i uzasadnienie tkwi w przesłankach reakcyjnych antidemokratycznych i klerykalno-religijnych.

Przeciwko powyższemu wnioskowi wypowiedział się p. Niedziałkowski wyrażając pogląd, że socjaliści polscy powinni się liczyć z tendencjami nurtującymi społeczeństwo żydowskie i w kwestjach spornych wewnątrz społeczeństwa żydowskiego nie powinni odgrywać rolę rozjemcy.

Wystąpienie p. Mendelsona wywołało ogromne oburzenie w obozie sionistycznym.

„Hajnt” poświęca temu wystąpieniu artykuł wstępny. Załatwiwszy się ostro z p. Mendelsonem za jego określenie źródeł ideologii szkolnictwa hebrajskiego, autor przechodzi do kwestji zasadniczej, czy kwestja wewnętrznego ustroju i kierunku szkół żydowskich ma być rozstrzygnięta wyłącznie przez samych Żydów, czy też przez inne czynniki zewnętrzne.

„Władzom państwowym stawiamy żądanie autonomji kulturalnej, dającej możność zarządzania naszymi instytucjami kulturalnymi stosownie do potrzeb i woli większości narodu żydowskiego. Jak ma być urządzone szkolnictwo żydowskie, czy mają one mieć język wykładowy hebrajski lub żydowski (żargon) — jest to kwestja wewnętrzno-żydowska, która powinna być załatwiona drogą kompromisu wyłącznie w łonie społeczeństwa żydowskiego a czynniki decydujące nie powinny się do tego mieszać. Panowie z „Bundu” postępują zaś zupełnie inaczej: chcą tu wygrać nie siłą sprawiedliwości ich punktu widzenia, nie siłą świadomości przytłaczającej większości narodu żydowskiego, nie własną siłą ich wpływu i znaczenia wśród samych Żydów a wiarą i nadzieją, że za pomocą obcych towarzyszy uda się im rozegrać kulturkampf, który już tak dawno wre w społeczeństwie żydowskim. Grają tu na obcych kartach i chcą cudzemi rękami rozpalic ogień czysto żydowskiej walki, społeczeństwo nie żydowskie zupełnie nie obchodzącej”.

Na to odpowiada w bundowskiej „Folkscajtung” zaatakowany mówca, Wskazując na początku, że kultura hebrajska w całości jest oparta na starej kulturze Izraela, która była nawskroś religijną, że język hebrajski jako język powszedni w Polsce zupełnie nie istnieje, że nawet uczniowie szkół hebrajskich poza szkołą mówią między sobą po żydowsku, przechodzi p. Mendelson do kwestji zasadniczej: wmięszania się „strony trzeciej” do wewnętrznych spraw żydowskich.

„Jesteśmy zdania, że państwo szkoły utrzymujące musi baczną zwrócić uwagę na ich charakter. Rządy socjalistyczne i demokratyczne nigdy nie zezwolą nadać szkołom klerykalnego charakteru. To nie jest wmięszanie się strony obcej Państwu w wychowaniu młodzieży jest zainteresowane i jak się w szkołach wychowuje, czy w kierunku klerykalnym lub świeckim — nie jest dla rządu obojętnem. Zresztą, gdy wchodzi w grę ich interes, sioniści zupełnie nie boją się wmięszania tej obcej strony trzeciej. Dlaczego sionistom wolno czynić próby wygrywania sobie państwa palestyńskiego za pomocą cudzej strony trzeciej wbrew wyraźnej woli większości ludności wewnątrz kraju? Dlaczego sionistom wolno zasiadać w całym szeregu gmin żydowskich wbrew wyraźnej woli większości ludności żydowskiej tylko dzięki temu, że te gminy nie zostały przez władze rozwiązane? Odpowiedź jest prosta. W walce cel uświęca środki, a gdy to się im nie oplaca, występują przeciwko temu, sami zaś z tego korzystają, gdy jest to im na rękę”.

\*

Przed kilkoma tygodniami Związek Wzajemnej Pomocy Studentów Żydów U. S. B. chciał urządzić wieczór baletowy na rzecz niezamożnych swych człon-

ków. Imprezę tą zamierzano urządzić w sali Teatru Miejskiego na Pohulance. Delegacja Związku zwróciła się w tej sprawie do dyrektora teatru p. Zelwerowicza. Ten nie znalazł żadnych przeszkód ku temu, by ten wieczór odbył się w gmachu b. Reduty. Ze względów formalnych jednak skierował delegację do p. prezydenta Folejewskiego, albowiem właścicielem gmachu jest formalnie Magistrat i od niego trzeba uzyskać zezwolenie. Delegacja udała się do p. Prezydenta. Ten wyraził swoją zgodę i przyobiecwał pomówić z członkami komisji teatralnej, gdyż faktycznym właścicielem gmachu jest owa komisja. Wyraził jednakże p. Prezydent przytem, że spodziewa się pomyślnego załatwienia tej sprawy i Związek może przedsięwziąć wszelkie kroki przygotowawcze. Związek będąc pewny, że salę dostanie, poczynił rozległe przygotowania: rozklejono po mieście afisze, sprzedawano bilety i zrobiono cały szereg wydatków. Wreszcie w przeddzień przedstawienia Związek otrzymuje wiadomość, że wieczór nie może się odbyć, gdyż komisja nie zgodziła się udzielić sali. Skrepowana jest ona zawartą w akcie darowizny klauzulą, podług której w gmachu teatru na Pohulance nie mogą się odbywać imprezy żydowskie.

Redaktor „Cajt” p. A. Cyncynatus pisze z tego powodu:

„Liberalowie i nie-antysemici oświadczyli nam: my nie jesteśmy szowinistami. Gdyby to było zależnem od nas, dalibyśmy gmach teatru na przedstawienia żydowskie. Ale (nic nie jest bez ale) istnieje umowa, wyraźnie zabraniająca przedstawień żydowskich w tym gmachu. Jesteśmy nawet przeciwnikami tej klauzuli, ale cóż zrobić, ha takich warunkach nam teatr ten darowano. Obecnie okazuje się, że klauzula ta której wszyscy są przeciwnikami, zostaje interpretowana w taki sposób, że rozciąga się ona nie tylko na przedstawienia żydowskie, gdzie ze sceny rozlega się język żydowski, lecz wogóle na wszelką imprezę, w której inicjatywa i organizacja należy do Żydów. O takim pojmowaniu umowy żydowskiej, a może i nie tylko żydowskiej Wilno dowiaduje się po raz pierwszy”.

„Wilner Tog” podając wiadomość o postanowieniu nie udzielenia sali na imprezę Związku Studentów Żydów w krótkiej notatce kronikarskiej dodaje tylko, że po tym fakcie „żadna noga żydowska nie powinna nigdy przekroczyć progu gmachu teatru na Pohulance”.

J. H.

## Biblijografja.

**Stankiewicz, Ad.** ks. *Rodnaja mowa u światyniach*. Wilnia 1929. (Adbitka z „Chryścijanskoj Dumki”).

Znany działacz białoruski na niwie społeczno-oświatowej ks. Adam Stankiewicz wydał bardzo ciekawą książkę, zawierającą zarys historyczny stosunku Kościoła katolickiego do języka białoruskiego. Został tu zgromadzony i oświetlony bogaty materiał faktyczny z tej dziedziny, wśród którego znajdujemy sporo nieznanymi dokumentów. Pracę ks. Stankiewicza omówimy szerzej w jednym z następnych numerów, poprzestając na razie na zanotowaniu jej ukazania się w druku.

**Vogonis Maciej.** *Wspomnienia i refleksje Litwina*. Warszawa 1929.

Autor tych wspomnień jest rodowitym Litwinem, krawcem z zawodu, który w r. 1887 zawędro-

wał do Warszawy. Tam założył swój warsztat i prowadził go z powodzeniem do r. 1907, kiedy się przeniósł do Wilna, następnie w czasie wojny osiadł w swoim folwarczku w Suwalszczyźnie, by znów powrócić nad Wisłę i zamieszkać na stałe już w Wołominie pod Warszawą.

Wspomnienia i refleksje p. Vagonisa są ciekawe z tego względu, że odtwarzają wiernie proces stopniowego wynaradawiania się Litwina pod wpływem kultury polskiej — zjawisko tak często spotykane w czasach przedwojennych, a i dziś jeszcze nierzadko obserwowane w naszym kraju.

Z szczerych autobiograficznych wynurzeń krawca warszawskiego dowiadujemy się, że na początku swego pobytu w Warszawie był on gorącym patriotą litewskim. Praca zawodowa nie wystarczała mu. Miał on szersze aspiracje: był duszą niewielkiej kolonji litewskiej w Warszawie i pozostając pod wpływem przebywających wówczas na uniwersytecie warszawskim studentów Litwinów, w pierwszym rzędzie wybitnego później działacza Kudirki, położył nawet pewne zasługi dla sprawy narodowej, na jego nazwisko bowiem przychodziła korespondencja z różnych stron Litwy, która stanowiła materiał redakcyjny dla pisma litewskiego „Varpas”, wydawanego przez Kudirkę w Tylży. Wspomnienia o Kudirce i życiu ówczesnej kolonji litewskiej w Warszawie stanowią najciekawszą kartę w broszurze p. Vagonisa.

Wrażenia z pobytu w Wilnie w latach 1907 — 1914 świadczą, że psychika p. Vagonisa z biegiem czasu uległa znacznym przeobrażeniom. Czytając je niktby nie powiedział, że tak mógł myśleć i działać wielbiciel twórcy hymnu litewskiego. Jeszcze bardziej rażą refleksje p. Vagonisa na temat stosunków polsko-litewskich po wojnie. Dziwnie brzmi w ustach patrioty litewskiego, jakim był niewątpliwie p. Vagonis wtedy, gdy pośredniczył w przesyłaniu do Tylży nielegalnych artykułów, dzisiejsze jego szczere wyznanie: „Czyż można się dziwić, że Wilno należy do Polski, ta ziemia, która tyle wspomnień i przeżyć wielkich genjuszów połączonej Litwy i Polski zawiera?”.

Końcowy ustęp świadczy najlepiej o przemianach, jakie zaszły w duszy rzemieślnika litewskiego, który w jednym z pierwszych rozdziałów swej broszury gorzko wyrzuca wynarodowionej szlachcie, że rozsiewała plotki o „litwomaniach” i z rozrzewnieniem wspomina o „nieocenionej i ukochanej Litwie”, a obecnie czuje się o wiele lepiej w Wołominie pod Warszawą, niż w swej niepodległej ojczyźnie. Zamyka swe wspomnienia p. Vagonis następującymi słowami: „Refleksje moje kończę, wyrażając głęboką cześć dla wielkiego człowieka, który Polskę i Litwę wileńską postawił na nogach — cześć dla Pierwszego Marszałka Polski — Józefa Piłsudskiego”.

Możnaby więc zatytułować wynurzenia p. Vagonisa bardziej efektownie: „Od Kudirki do Piłsudskiego”. Byłby to tytuł najwłaściwszy.

**Rewieńska Wanda.** *Izochrony Wilna*. Prace T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie. T. V. Wilno 1929.

Nieznaną zupełnie szerszemu ogółowi bardzo specjaną dziedzinę wiedzy porusza w omawianej pracy autorka.

Izochrony są to linje, łączące punkty, leżące w jednakowej odległości czasowej od pewnego ośrodka przy uwzględnieniu najkrótszej drogi i najszybszych stałych środków komunikacyjnych.

Zadaniem bowiem komunikacji współczesnej

jest największe zbliżenie poszczególnych skupień ludzkich, gdyż nietylę odległość rzeczywista, ile *odległość czasowa* decyduje o wymianie wartości kulturalnych oraz o lepszym zespoleniu organizmów państwowych. Stąd wyrasta zagadnienie odległości czasowej poszczególnych obszarów od ważniejszych ośrodków miejskich w obrębie jednego państwa, bądź też poszczególnych państw pomiędzy sobą. Odpowiedź na to zagadnienie dają mapy izochroniczne.

Taką właśnie mapę nakreśliła p. W. Rewieńska, zaopatrując ją w obszernie wywody teoretyczne, z których wyciąga wnioski następujący: „Misja kulturalna i polityczna Wilna na olbrzymich obszarach ziem północno-wschodnich może być spełniona tylko przez należyte docenianie go jako samodzielnego ogniska kultury i przez jaknajlepsze zespolenie sięcią dróg i połączeń kolejowych z najodleglejszymi zakątkami kraju“.

a.

## Niezrozumiała taktyka.

W ścisłym związku z kwestją, poruszoną przez nas w przypisku do artykułu „Bezpodstawne przywłaszczenie“ pozostaje sprawa udziału w obchodzie rocznicy Witolda społeczeństwa polskiego po tamtej stronie „linji administracyjnej“. I tam zaznacza się ze strony litewskiej niechęć względem udziału Polaków w ogólnopństwowej akcji nad zorganizowaniem obchodu.

Uskarża się na to „Dzień Kowieński“, który pisze:

Do uczczenia pięćsetnej rocznicy śmierci wielkiego władcy Litwy czynione są ze strony czynników urzędowych i społeczeństwa litewskiego rozległe przygotowania, zapowiadające szereg obchodów uroczystych w różnym czasie, poczynając od 16-go lutego. Już bodaj na początku ubiegłego roku został stworzony w tym celu naczelny komitet obchodu pięćsetlecia śmierci Wielkiego Księcia Witolda, który w dalszym ciągu stadium organizacyjnego uległ rozszerzeniu i ostatecznemu sformowaniu w drodze specjalnie wydanej w tym celu przez Gabinet Ministrów ustawy. Weszli do niego przedstawiciele różnych litewskich organizacji, a nawet partji politycznych, oraz żydowskiej mniejszości narodowej. Komitet naczelny wyłonił poza tem szereg specjalnych sekcji, do pracy w których powołano również wszystkie siły społeczeństwa litewskiego oraz przedstawicieli Żydów. Wreszcie, powstały w kraju komitety lokalne, których liczba obecnie podobno przekracza drugą setkę, a w których udział biorą oprócz Litwinów, również przedstawiciele żydowskiej, a nawet tatarskiej mniejszości narodowej.

Pomimo jednak, iż jeden z komunikatów, ogłoszonych w urzędowym „Lietuvos Aidasi“, opiewał iż w naczelnym Komitecie w ten sposób jest reprezentowana „cała Litwa“, ani zaproszono do komitetu naczelnego, ani obrano do komitetów prowincjonalnych przedstawicieli polskiej mniejszości narodowej. Społeczeństwo nasze zostało tu pominięte tak dalece, że na organizacyjne posiedzenie sekcji prasowej które się odbyło 4-go grudnia roku ubiegłego, nie został zaproszony ani „Dzień Kowieński“, ani „Chata Rodzinna“, ani żadne inne z wychodzących w kraju pism polskich. Redakcja nasza dopiero nazajutrz dowiedziała się o tem posiedzeniu, na którym byli obecni również przedstawiciele „Idische Stimme“, „Naszego Echa“ i innych i na którym, jak głosił komunikat, uchwalono stworzyć sekcję prasową, w skład której weszliby przedstawiciele wszystkich pism periodycznych bez różnicy kierunków i języka.

Nie będziemy zastanawiali się nad przyczyną tego całkowitego pominięcia społeczeństwa polskiego w wielkiej wspólnej akcji nad zorganizowaniem obchodu Witoldowego. Jest ona jasna. Powyższe uwagi poczyniliśmy z tytułu niezbędnego sprostowania miarodaj-

nych komunikatów, które niejednokrotnie opiewały, iż „w Litwie nie pozostało ani jednej organizacji społecznej bądź politycznej, któraby się nie przyłączyła do wspólnej dla całej Litwy wielkiej pracy przygotowawczej do obchodu Witolda“ („Lietuvos Aidas“), iż „obecnie w naczelnym Komitecie Wielkiego Księcia Witolda będą reprezentowane wszystkie naukowe, artystyczne, społeczne i gospodarcze instytucje i organizacje, słowem — cała Litwa („Liet. Aidas“)“.

Jakkolwiek przykro odczuwamy to wyeliminowanie nas i pozbawienie możności udziału w zbiorowym wysiłku całego kraju, aby obchód wypadł z całą godną wielkiego męża świetnością, nie możemy się ograniczyć do biernej roli wzruszonych widzów obchodzonej bez nas wielkiej uroczystości. Ponieważ warunki obecne, niezawsze kierowane duchem Witoldowym, postawiły nas poza nawiasem pracy nad zorganizowaniem obchodu, sądzimy, że będzie zrozumiałem, gdy społeczeństwo polskie w Litwie ze swej strony złoży należyty hołd pamięci bohatera i uczci go własnym obchodem. Nie wątpimy też, że myśl ta odezwie się żywym echem w całym naszym społeczeństwie, które również, na ile je stać, swem poparciem materialnem dopomoże do jej urzeczywistnienia“.

Nie potrzebujemy tłumaczyć, że argumenty, które wysunęliśmy polemizując z tezą p. Mackiewicza, mają jeszcze większe zastosowanie w danym wypadku. Stanowisko czynników miarodajnych w Kownie wydaje się nam całkiem niezrozumiałe. Jeżeli Polacy tamtejsi chcą uczcić bohatera Litwy wspólnie z narodem litewskim, to cieszyć się tylko z tego należy, a nie temu przeciwdziałać. Gorzej byłoby, gdyby ignorowali całkiem pamięć Witolda, wielbiąc wyłącznie Sobieskiego i Poniatowskiego. Bardziej zrozumiałą była polityka rządu rosyjskiego, który przeciwnie wywierał presję na przedstawicieli szlachty polskiej na Litwie, by obecnością pod pomnikiem Katarzyny II zadokumentowali swą lojalność wobec państwowości rosyjskiej...

Ale czy nie jest najsmutniejszym w tem wszystkim, że mogą się nasuwać podobne analogie?

## Ciekawa sprawa.

(O skonfiskowany klasztor).

Czytamy w „Wileńskim Przeglądzie Prawniczym“: Kościół katolicki wytoczył szereg spraw sądowych o zwrot kościołów i majątków, odebranych mu w swoim czasie przez rząd rosyjski. Sprawy te budzą powszechne zainteresowanie, dlatego podajemy tu sprawozdanie z przebiegu sprawy, w której kwestja powyższa podpadła pod rozpoznanie sądu po raz pierwszy.

Magistrat m. Wilna wytoczył przeciwko wileńskiej Kurji Metropolitalnej powództwo o eksmisję z lokalu w domu miejskim przy ul. Śtej Anny Nr. 7 w Wilnie, zajętego w 1928 r. przez klasztor S.S. Bernardynek po opuszczeniu go przez poprzednią lokatorkę.

Pełnomocnik Kurji Metropolitalnej zgłosił powództwo wzajemne o prawo własności do powyższego domu opierając się na wywodach następujących: „Kościół Św. Michała w Wilnie i przy nim znajdujący się klasztor Sióstr Bernardynek, został ufundowany w 1594 roku przez kanclerza Wielkiego Księstwa Litewskiego — księcia Lwa Sapiehę, o czem są odnośne akta w Kurji Metropolitalnej i w Archiwum Państwowem w Wilnie. Kościół Św. Michała i Klasztor Bernardynek, nazywany Św. Michalskim, przetrwał aż do roku 1887, w którym rząd rosyjski

skasował i kościół i klasztor. Od roku 1863, t. j. od ostatniego powstania polskiego, rząd rosyjski, na mocy rozporządzeń Murawiewia systematycznie gnębił Polaków w tutejszym kraju i znęcał się nad wyznaniem katolickim, całemi masami kasując kościoły, przerabiając takowe na cerkwie i konfiskując dobro kościelne i klasztorne. Jeżeli jaki klasztor nie mógł być pociągnięty do odpowiedzialności za udział w powstaniu, jak to było z klasztorem Św. Michałskim, rząd wydawał rozporządzenie o skasowaniu nowicjatu w danym klasztorze, a także i zastrzeżenie, że klasztor ulega kasacji gdy liczba zakonników nie będzie większą nad trzy osoby. W 1887 roku, gdy w klasztorze Św. Michałskim zostały tylko trzy zakonniczki, rząd przeniósł te trzy staruszki Bernardynki do klasztoru Sióstr Benedyktynek przy Kościele Św. Katarzyny w Wilnie, a kościół i klasztor zamknął i skasował. Jeszcze w 1864 roku, gmach klasztoru Sióstr Bernardynek z polecenia rządu rosyjskiego ulegał ścisłym oględzinom oficjalnym w celu jego przyszej konfiskaty. W 1887 roku na zasadzie cesarskiego ukazu, gmach klasztoru Sióstr Bernardynek przy ulicy Św. Anny 7 został oddany Zarządowi Instytucji Cesarzowej Marji w celu urządzenia tam żeńskiego gimnazjum. Ministerstwo Oświaty, mając zamiar zbudowania gimnazjum żeńskiego w Wilnie, a nie mając placu własnego, zamieniło gmach przy ulicy Św. Anny 7 z Magistratem miasta Wilna na plac przy ulicy Mickiewicza 38 i tam wybudowało gmach żeńskiego Gimnazjum (obecnie gimnazjum imienia Lelewela) i taką drogą Magistrat miasta Wilna stał się właścicielem gmachu przy ulicy Św. Anny 7.

Stosownie do wyjaśnienia Sądu Najwyższego w sprawie Dr. Szumkowskiego, fakt konfiskaty gmachu klasztorowego Sióstr Bernardynek przy ulicy Św.

Anny 7, przez rząd rosyjski w 1887 roku na mocy rozporządzeń po-powstaniowych, był aktem gwałtu i bezprawia i tytuł własności rządu rosyjskiego do gmachu był wadliwy i przez to zamiana tego gmachu z Magistratem miasta Wilna na plac, jako oparta na tytule wadliwym, nie może mieć znaczenia prawnego".

Na rozprawie w Sądzie Okręgowym w Wilnie w dniu 7 stycznia b. r. pełnomocnik Magistratu m. Wilna prosił o oddalenie powództwa wzajemnego, powołując się na to, że pozwana Kurja Metropolitalna nie udowodniła i, oczywiście, tego udowodnić by nie była w stanie, by wileńskie zakonnice—Bernardynki Św. Michałskiego Klasztoru braly udział bezpośredni, lub pośredni w walce powstańczej o najistotniejsze prawa Narodu o wolność i niepodległość Polski, raczej zakonnice cechowała daleko idąca lojalność w stosunku do rządu rosyjskiego.

Gmina m. Wilna przyjęła sporną nieruchomość w drodze zamiany, w dobrej wierze od Skarbu państwa rosyjskiego i od roku 1900 posiada tą nieruchomość na prawie właściciela, czyli, że niezależnie od powyższego zarzutu mamy tu do czynienia z utratą tytułu b. właściciela mienia w sposób, odpowiadający nowemu stanowi prawnemu w Polsce, jako że gmina m. Wilna zastania się dobrym tytułem nabycia.

Te to dwa względy, gdyby nawet stając całkowicie na gruncie faktycznego stanu rzeczy tak, jak go podaje Kurja, oraz też, przez Sąd Najwyższy w orzeczeniu w sprawie Szumkowskiego podanych,—decydują, że w okolicznościach danej sprawy nie może mieć zastosowania rewindykacja mienia po Klasztorze Św. Michałskim.

Sąd jednak w sprawie tej nie wypowiedział się. W dn. 21 b. m. zapadła decyzja o pozostawieniu powództwa wzajemnego Kurji Metropolitalnej bez biegu wobec nieopłacenia.

## LECZNICA

### Litewskiego Stowarzyszenia Pomocy Sanitarnej

Wilno, Wileńska 28. — Telefon 8-46.

W przychodni przyjmują lekarze specjaliści.

W szpitalu oddziały: wewnętrzny, oczny, nerwowy, chirurgiczny, ginekologiczny oraz dla stałych chorych moczopłciowych.

### Gabinet Roentgena i Elektro-Leczniczy.

Leczenie promieniami Roentgena i elektrycznością, fotografowanie, prześwietlanie, elektryczne wanny, elektryczny masaż.

Przyjęcia od godz. 10—3.